

PRACE
DRAMATYCZNE

J. S. JASIŃSKIEGO.

Za pozwoleniem Cenzury Rządowej.





w Lit. F. Schuster w Warszawie.

Akt II Scena IV.

J. P. Swiergocki [w roli Jozefa, w Kom. Ionaci bezzienni]

Oto dowody, czytaj, jeżeli czytać umiesz.

Tom XIV Prac Drama J. S. Jacińskiego

Egz. archiwalny IBL

P R A C E

D R A M A T Y C Z N E

TEUMACZONE I ORYGINALNE

J. S. JASIŃSKIEGO

A. D. T. W.

Tom XIV.

W A R S Z A W A.

1839.

**INSTYTUT
BADAŃ LITERACYJNYCH PAN**

Biblioteka

ul. Nowy Świat 72

<http://rcin.org.pl>

Tel. 26-63-63, 26-52-31 w. 42

SPIS SZTUK

W TOMIE CZTERNASTYM ZAWARTYCH.

1. *Prawo Angielskie*, drama we 2 aktach 1.
2. *Pamiętniki Pułkownika*, komedjo-opera
w 1 akcie 89.
3. *Zonaci bezżenni*, komed. we 3ch aktach 137.
4. *Terenia*, komedjo-opera w 1 akcie . . 219.



PRAWO
ANGIELSKIE.

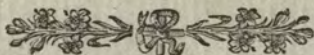
D R A M A

W D W Ó C H A K T A C H.

z francuzkiego

pp. Fournier i C. Terrier.

T Ł U M A C Z O N A.



PRZEDSTAWIONA PIERWSZY RAZ

W WIELKIM TEATRZE

dnia 1 Kwietnia 1839 r.

O S O B Y.

LORD EDWARD RUTLAND	JP. <i>Werowski.</i>
ADELA de SANCEY, młoda sierota	JPa. <i>Dobrzańska.</i>
MARJANNA	JPi. <i>Żółkowska.</i>
JULJAN de PRÉVOT, malarz	JP. <i>Jasiński.</i>
PETERSON, intendent lorda	JP. <i>Karasiński.</i>
JOHN, służący lorda	JP. <i>Jędrzejewski.</i>

(*Akt 1szy w Paryżu, w mieszkaniu Adeli de Sancey, akt 2gi w Londynie w pałacu lorda Rutland.*)

PRAWO ANGIELSKIE.

AKT I.

(Scena przedstawia ogród, po lewej od widzów pawilon, służący za pracownię malarzką. Po prawej w głębi brama do wejścia. W pierwszej kulisie stół kamienny, ławka, stoliki ogrodowe.)

SCENA I.

ADELA, MARJANNA.

(Za podniesieniem zasłony, Adela wychodzi z pawilonu, trzymając pędzle i paletę. Marjanna siedzi przy stole i szyje.)

A D E L A.

Co za męczarnia! kiedy nie można przelać całego natchnienia!

M A R J A N N A.

Musiałaś więc doznać jéj nie mało przez cztery godziny ciągłej pracy; no, ale już dosyć, odpocznij sobie trochę.

A D E L A.

Wiesz dobrze kochana Marjanno, że ten obraz kazano mi zrobić.

M A R J A N N A.

Tak, tak, ten cudzoziemiec go zamówił, ten milord, jak mówią, milionowy, nasz sąsiad; przyjemny człowiek, jak na Anglika nie dumny. Codziennie prawie nas odwiedza.

A D E L A.

To dowodzi jego niecierpliwość. Chcę żeby widział postęp w pracy.

M A R J A N N A.

I utratę zdrowia.

A D E L A.

Co mówisz?

M A R J A N N A.

Uważam ja to od dwóch miesięcy; oczy téj, która cię wykarmiła, nie ustępują oczom matki, nie można ich zwieść... postrzegam w tobie odnianę, a to mię zasmuca, kocham cię bowiem jak własne moje dziecię; i bardzo naturalnie, bo dobroć twoja dla mnie...

A D E L A.

Nie wspominaj o tém.

MARJANNA. (*wstając*)

Ale tak, właśnie wszystkim opowiadam: Wiedzicie, o ta, ta ładna panienska, z takim wychowaniem, umiejąca tak pięknie czytać, pisać, malować, grać i śpiewać, jest jedyną córką nieboszczyka margrabiego de Sancey... kiedy się urodziła miała pałace, wielkie dochody, służących w liberji, ale ojciec chciał podwoić majątek, i przywiódł córkę do ubóstwa... Ah, kiedy wspomnę na ten szkaradny postępek!..

A D E L A.

Moja Marjanno, szanuj jego pamięć, i przebacz mu.

M A R J A N N A.

Jeżeli mu przebaczam, to jedynie dla tego, że umarł ze zgrzyoty. Gdyby nie to... Ty moje dziecię okazałaś się dobrą, godną córką... sprzedałaś resztę pozostałości, aby zapłacić jego długi; a potem zamiast stać się ciężarem jakiego nienajlepszego krewnego, postanowiłaś tylko twojej zdatości, i twoim talentom być winną utrzymywanie życia i mnie, która opuściwszy

1*

dom twojego ojca, byłam już sama na świecie, mnie przyjąłeś do siebie, aby czuwać nad moją starością, tak jak ja czuwałam nad twojemi dziecinnemi laty.

A D E L A.

Nie jesteś ty moją jedyną przyjaciółką?

M A R J A N N A.

Przynajmniej najdawniejszą.

A D E L A.

Matka moja okupiła śmiercią moje życie, a ty utraciłaś jedyny skarb w twojem dziecięciu, wspólne więc nieszczęście nas zjednoczyło; twoje serce odpowiedziało mojemu; powinniśmy więc razem odzyskać to, co każda z nas utraciła.

M A R J A N N A.

Otóż to uczucia, to zalety! to nie tak, jak twój mleczny brat.

A D E L A.

Juljan, mój przyjaciel, towarzysz dni dziecinnych, także twój syn... cóż mu zarzucić możesz? wszakże on ma dobre serce?

M A R J A N N A.

Tak, kiedy myśli o tém... zresztą pustak, nieumiejący korzystać z czasu. Dawniej uczył

cię rysować, ale wkrótce przewyższyłaś twój nauczyciela, który zawsze zajmuje się tylko, jak ich nazywa, karykaturami.

A D E L A.

Jest to rodzaj równie jak inny.

M A R J A N N A,

Tak, prześliczny rodzaj... głowy wielkie, a nogi małe; prawda, że mię to samą śmieszność... ale zawsze w tem jest ktoś, komu to przykrość sprawia. Nakoniec, gdyby mu też kiedy przyszła fantazja z nas...

A D E L A.

Ah moja dobra Marjanno...

M A R J A N N A.

Cóż chcesz, u niego wszyscy przez to przechodzą. Nie, ja go nie bardzo lubię, gdyby jeszcze myślał o oszczędności; ale gdzie tam, wydaje, rozrzuca, a jak worek pusty, przychodzi do ciebie, zrobi kwaśną minkę, i... taki człowiek nie bardzo bezpieczny, kiedy potrzebuje pieniędzy. Zresztą ja mu źle nie życzę, przeciwnie; abyś ty tylko była szczęśliwą, bo godną tego jesteś!.. i ja myślę, że mając takie wychowanie, tak piękny sposób obójścia, znajdziesz sobie dobrego męża..

A D E L A.

Co za myśl, w mojem położeniu...

M A R J A N N A.

A gdyby też znalazł się jakiś uczciwy człowiek... mój Boże, mnie się już zdawało... Paryż wielki...

A D E L A.

Nie łudź się daremnie.

M A R J A N N A.

Kto wie, kto wie, żeniono się z pasterkami...

SCENA II.

CIŻ I JULJAN.

JULJAN. (*wchodząc*)

Ale wtenczas zapewne kiedy rzeki miodem płynęły.

M A R J A N N A.

Ah, otóż Juljan!

J U L J A N.

O czém mówiłyście, o pasterkach, o żenieniu się z pasterkami? możeby to był przedmiot do karykatur?

M A R J A N N A.

Otóż mamy, on zawsze o swoich karykaturach.

J U L J A N.

Pozwolisz mi się uściskać?

M A R J A N N A.

Dobrze, dobrze... ty żartownisiu uszczypliwy.

J U L J A N.

To mój stan!

M A R J A N N A.

Cóż cię tu sprowadza?

J U L J A N.

Interesa finansowe Adeli; jej mały obraz
sprzedany.

M A R J A N N A.

Sprzedany!

J U L J A N.

Panu Raimbault, bankierowi.

M A R J A N N A.

Czy tak?

J U L J A N.

Oto jest 500 franków, weź je dobra Ma-
rjanno, pełnisz obowiązki kasjerki, rozporzą-
dzaj niemi podług twojego zdania.

M A R J A N N A.

Dziękuję. (*do Adeli*) W tym chłopcu jest
wiele dobrego, szkoda...

A D E L A.

Widzisz, zawsze nami się zajmuje.

M A R J A N N A. (*do Adeli*)

To mię cieszy, że on mną się nie zajmuje.

Zostawiam cię moje dziecię, mam sprawunki.
(*do Juliana*) Bądź zdrow, ty nic dobrego.—
(*wychodzi*)

S C E N A III.

ADELA, JULJAN.

JULJAN. (*biorąc obraz, który wszedłszy ukrył
za kamienną ławką*)

Schowaj go czémprędzej nim Marjanna po-
wróci, byłyby znowu narzekania bez końca.

ADELA. (*zdziwiona*)

Mój obraz!

J U L J A N.

Taka sprawa z panami bankierami.

A D E L A.

Mówiłeś że go kupił.

J U L J A N.

Kupił, ale nie zapłacił; to inny odcień...
najwięcej było trudności o jego wielkość. —
»Bardzo mały za 500 franków, powiedział ten
prawdziwy amator, daleko większe ofiarują mi
dwa za sto talarów.« Takie teraz głowy, i ja
myślę, że wkrótce malowanie będą chcieli na
łokcie kupować. Tak dalece, że mój znawca

z miarą w rękę, ofiarował mi 15 dukatów, jeszcze żądał, abyś ty sama przyszła je odebrać.

A D E L A.

Ośmielił się to powiedzieć?

J U L J A N.

Bez skrupułu.

A D E L A.

I ty mu nie nie odpowiedziałeś?

J U L J A N.

Nie, ale dałem mu uczuć... (*poruszeniem okazuje policzek*)

A D E L A.

Jakto, poniżyłeś się do tego?..

J U L J A N.

Poniżyłem się? bynajmniej, on wyższy ode mnie o głowę.

A D E L A

Zkądże więc te 500 franków?

J U L J A N.

Te 500 franków... cóż ci do tego, kiedy je masz.

A D E L A.

Znowu ty, jestem pewna...

J U L J A N.

A choćby i tak było, czyliż nie jesteśmy jak brat i siostra?

A D E L A.

Poznaję cię po tym postępku; ale nie mogę przyjąć twoich darów.

J U L J A N.

Dla czego?

A D E L A.

Naprzód z obawy, że dla mnie pozbawiasz się....

J U L J A N.

Dajżeż pokój, dziś karykatury w modzie; za szyderstwo i śmieszność można stopy złota gromadzić, jeździć kareta...

A D E L A.

A potem; dobra Marjanna nie wie ile ci obowiązaną jestem.

J U L J A N.

Tém lepiej; ona trochę gadatliwa... i mogłaby małe przysługi na złe tłumaczyć...

A D E L A.

Ale jej niesprawiedliwe uprzedzenia przeciw tobie.

J U L J A N.

Zgaduję, obawia się aby moja obecność nie przeszkadzała twojemu zameżczeniu... jednakże 15 dni tu nie byłem, ja, którego odwiedziny dawniej były bez liczby. W każdym wypadku znam sposób pojednania tego wszystkiego.

A D E L A.

Jakiż?

J U L J A N.

Zostań moją żoną.

A D E L A.

Co?

J U L J A N.

Pobierzmy się; od siódmego czy ósmego roku żyliśmy ciągle ze sobą, idzie teraz tylko o to aby tę rzecz w dalszym ciągu na obszerniejszy rozmiar urządzić. Co mówisz o tym obszerniejszym rozmiarze?

A D E L A.

Mój Juljanie...

J U L J A N.

Cóż?

A D E L A.

Oddaję sprawiedliwość twoim wspaniałomyślnym zamiarom, ale...

J U L J A N.

Ale...

A D E L A.

Nie zdajeż ci się tak jak mnie że kiedy się wychowało razem...małżeństwo potrzebuje jakiegoś uczucia idealnego.

J U L J A N.

Co mówisz?..idalność w małżeństwie! uważasz to za nadto po artystowsku, albo mieszasz jedno z drugim albo żartujesz. Jeżeli mój pomysł podobał ci się, już byś mi podała rękę; a tymczasem widzę cię zmieszaną zdumiałą.

A D E L A.

Przebacz!

J U L J A N.

Zatrważasz mię, pozwól mi czytać w twojem sercu jak bratu. Czy przypadkiem inna miłość?..

A D E L A.

Oh nie sądzę; jednakże prawda, że doświadczam jakiegoś uozucia nieznanomego, które podobne jest zarazem do nadziei i do niespokojności; mimowolnie często jestem roztargnioną, wzruszoną; dawniej myślałam o przeszłości, teraz przyszłość tylko mię zajmuje. Szukam pomocy w pracy, a często pędzle wypadają z rąk moich, raz serce radość przepelnia, znów mam ochotę płakać niewiedząc dla czego, oto cała moja tajemnica.

J U L J A N.

Nic więcej? dziękuję! fraszka, drobnostka, tylko namiętność bardzo jawna! Otóż bracie bądźże nieobecnym, przez 15 dni, jak powrócisz, znajdziesz...Ale bohater tego romansu?.. napróżno szukam, nie mogę zgadnąć. Mówiłaś mi, że bywa tylko ten amator obrazów, ten bogaty anglik...

A D E L A.

Lord Edward...ah ja ci nie nie powiedziałam...i nie myśl...

J U L J A N.

Przeciwnie, właśnie myślę, po sposobie twojej obrony, po tym przęstrachem.

A D E L A.

Juljanie!

J U L J A N.

To on! ja się już znam cokolwiek na tem; Boże, czy podobna!..żeby to był jeszcze jaki dobry chłopiec, wesóły, otwarty, przyjemniejszy, albo rozsądniejszy odemnie, nakoniec fizjonomja tutejsza, mogąca się przedstawić przyjemnie; ale oryginał tego rodzaju.

A D E L A.

Czy go znasz?

J U L J A N.

Ja, fe! czyliż ja przestaję z takimi ludźmi? ale mówią o nim jak o Angliku nieugiętym; wspominają o jego porywczności, uprzedzeniu przeciwko wszystkim, a szczególnie przeciw kobietom, dobrze trafiła. Zresztą nie cierpi towarzystw, i tylko pragnie wyszukiwać jego błędy! piękny sposób myślenia, a potem sądzę że on nie taki młody.

A D E L A.

Dotychczas poznałam tylko jego szlachetność i wspaniałość...

J U L J A N.

I dzięki temu postrzeżeniu wyspiarz umieścił się w twojém sercu, mam ci prawdę powiedzieć? jesteś kobietą jak inne.

A D E L A.

Juljanie...sprawiam ci przykrość...

J U L J A N.

Nie, bynajmniej; ale kiedy nagle trzeba zmienić rolę, z kochanka spaść na powiernika... Ab uwodziciel! powiedz mi jak on też zaczął swoje oświadczenie? to musiało być ciekawe.

A D E L A.

Oświadczenie? on nic nie mówił, nie wiem nic wcale...

J U L J A N.

Ah, od dwóch miesięcy dopiero na tem jesteście?

A D E L A.

Powtarzam ci mój przyjacielu, że sama wiem za ledwie... a on nigdy wiedzieć nie będzie; bo to coś zdawał się zgadywać, mogłoby wzniecić w nim podejrzenie że jego majątek!.. raczej umrzeć jak wzbudzić podobne mniemanie.

J U L J A N.

Pięknie, bardzo pięknie! ale do czegoż cię to doprowadzi? aby wzdychać, jęczeć, zostać nieszczęśliwą, nie, nie! Słuchaj, trzeba się dowiedzieć stanowczo, sam się tem zajmę, a jeżeli objaśnienia będą przyjazne, zobaczymy.

A D E L A.

Mój Juljanie...

J U L J A N.

W przeciwnym razie, Adelo, będziesz miała odwagę przewyciężyć tę skłonność; ja ci dopomogę mojemi radami i moim doświadczeniem. *(bierze kapelusz ze stołu)*

A D E L A.

Już się oddalasz?

J U L J A N.

Dwunasta...mam się zejść z sekretarzem pewnej znakomitej osoby; ale nie zostaniesz sama, oto ktoś do ciebie idzie, śmieszna postać, czy to nie jest przypadkiem twój lord Rutland? (*Peterson wchodzi głębią z prawej*)

A D E L A.

Co za myśl...to jego intendent, bardzo znaczny człowiek, który mu czasem towarzyszy... przybliź się panie Peterson!

JULJAN. (*zatrzymując go*)

Nie, nie, przeciwnie, zatrzymaj się...ani kroku z miejsca, bądź łaskaw!..*(dobywa ołówek i pugilares)* To nie długo potrwa, tak, dobrze, taki wyraz twarzy rzadko się trafia, wszystko podlega zużyciu...są rzeczy które nie można wymyślić; dziękuję, bardzo dziękuję. (*odchodząc, do Adeli*) Co, czy podobny!

SCENA IV.

ADELA, PETERSON.

P E T E R S O N.

Ten jegomość zdaje się bardzo wesołym.

A D E L A.

A ty bardzo smutnym panie Peterson.

P E T E R S O N.

Niestety! dotknął nas cios...mnie i moje nie-
szczęśliwe dzieci...

A D E L A.

Cóż to?

P E T E R S O N.

Jestem bez miejsca, lord wypędził mię.

A D E L A.

Ciebie, swojego najwierniejszego Petersona,
którego wychwalał zawsze niezłomną uczi-
wość i przywiązanie!..Jakaż przyczyna?..

P E T E R S O N.

Jedno słowo, jedno tylko słowo wymknęło
mi się w jego obecności...w przedmiocie wa-
żnym...

A D E L A.

W jakim?

P E T E R S O N.

O kobietach.

A D E L A.

Jakto panie Peterson, miałżebyś źle o nich
mówić?

P E T E R S O N.

Przeciwnie, wiele dobrego; ja który je znam

tak mało, było to nierozsądnie? dla tego też milord' surowo do mnie przemówił, uniosłem się...a on kazał mi pójść precz! wyszedłem; i przychodzę tu do pani, bo tylko ty jedna mogłabyś pozyskać przebaczenie.

A D E L A.

Jakim sposobem?

P E T E R S O N.

Czyliż mam ci jaśniej tłumaczyć! mamże wyjawić tajemnicę którą Milord może przed samym sobą ukrywa? on panią uwielbia!

A D E L A.

Ah! Milord?..

P E T E R S O N.

Uwielbia panią, jestem pewny.

A D E L A.

Jako! pomimo nienawiści dla naszej płci.

P E T E R S O N.

Oh, jego sposób myślenia jest napelniony samemi sprzecznościami; nawet w Londynie zrozumieć go nie mogą. Powierzchnownością angielską, okrywa duszę ognistą; jednak pomimo usiłowań, straszliwym sposobem dusza jego przedziera czasami tę zasłonę. Lecz otóż właśnie godzina zwykłych odwiedzin, gdyby mię tu zobaczył!..

A D E L A.

Proszę cię, chwilę jeszcze, mójkochany Peterson, zkądże ta pewność?

P E T E R S O N.

W braku słów jego postępowanie, jego poruszenia stają za dowód. Przed dwoma miesiącami, właśnie w ten dzień, kiedy zamówił sobie obraz, stał się opryskliwym, skrytym, milczącym, nazajutrz przybierało to ciemniejszą barwę, a na trzeci dzień posępność zupełnie go ogarnęła; teraz możnaby powiedzieć że najokropniejszy spleen go udręcza.

A D E L A.

I powiadasz?

P E T E R S O N,

Że to jest najpewniejszy dowód jego miłości. Nauczyłem się już poznawać te uczucia...

A D E L A.

Widać że musiałeś często być ich dostrzegaczem.

P E T E R S O N.

Oh nie, raz tylko, w Anglii...kobieta którą kochał, którą miał zaślubić...kiedy w wilją tego dnia, niegodne podejście! ale to zadługa historja...Od tego czasu, sam pomysł zdrady

goudze w nim gniew który częstokroć posuwa się aż do obłąkania.

A D E L A.

Jakże go żałuję!

P E T E R S O N.

Boże! otóż on...spóźniłem się, cóż pomyśli!

A D E L A.

Dla czegoż drżysz? bądź spokojny.

SCENA V.

LORD RUTLAND, ADELA, PETERSON.

LORD. (*mówiąc do siebie*)

Zwyciężyć tę skłonność...już za późno, wyjawić, ja nie będąc pewnym, byłoby za wczesnie. (*przechadza się*)

ADELA. (*do Petersona*)

Nie widzi nas.

L O R D.

Znam was wszystkie, Angielki czy Francuzki...naprzód kochanek dla serca, jeżeli mają serce, potem mąż dla pozorów, jeżeli dbają o pozór! (*przechadza się i zawsze w tę stronę w którą Peterson chce odejść*)

ADELA. (*n. s.*)

Ledwie śmiem przybliżyć się do niego.

LORD. (*d. s.*)

Sprawiedliwie przysiągłem, ale ta zdaje się
chcieć być wyjątkiem...przekonam się jeszcze;
wtenczas...(*sposzrzega Adele*) Ah panna Ade-
ła. (*n. s.*) Czy podsłuchiwała mnie?

A D E L A.

Milordzie, w samą porę przybywasz, mówi-
łam o tobie.

L O R D.

Sama...(*postrzega Petersona*) Cóż tu pora-
biał mój Petersen.

P E T E R S O N.

Milordzie...ja...

A D E L A.

Przyszedtł mię prosić o przysługę. Milordzie,
jesteś zbyt surowym.

L O R D.

Użala się na mnie, oskarża mię, oczernia
przed tobą.

P E T E R S O N.

Milordzie, mozeszże myśleć?..

A D E L A.

Nie wcale...powiada że jesteś sprawiedli-
wym, ale surowym.

L O R D.

To dobrze.

A D E L A.

Dobrze, dobrze. Prawda, ale przestaniesz być takim.

L O R D.

Nie mogę.

A D E L A.

Przeciwnie, możesz, i powinniśmy starać się o to, kiedy idzie o uszczęśliwienie innych.

L O R D.

A mnie, czy oszczędzano?

A D E L A.

Milordzie.

L O R D. (*zwracając się do pawilonu*)

Jeżeli pani pozwoli, chciałbym bliżej przy-
patrzeć się twojej pracy.

A D E L A. (*z żywością*)

Wiesz milordzie, że nikt nie wchodzi do mo-
jej pracowni, nikt.

L O R D.

Jeżeli to jest powszechny zakaz...

A D E L A.

Milordzie, nie pozyskamże nic dla tego za
którym się wstawiam?

L O R D.

Nie; jak ty pani jedno tylko mam słowo.



ADELA. (*idąc do Petersona*)

Widzisz sam biedny Peterson, czyniłam oo mogłam.

P E T E R S O N.

Pani, bądź pewną mojej wdzięczności, Bóg jest sprawiedliwym... nie pozwoli mi umrzeć, dopóki się nie uiszczę z mojego długu.

A D E L A.

Odwiedzaj mię... będę się starała przynieść ci ulgę ile będzie w mojej mocy.

L O R D. (*n. s.*)

Bardzo pięknie z jej strony, wspanialsza o demnie.

P E T E R S O N. (*wracając*)

Milordzie!

L O R D.

Czy powiesz mi nakoniec, co cię tu sprowadziło?

P E T E R S O N.

Milordzie, odebrałeś dziś ostatni rachunek, który ci złożyć miałem?

L O R D.

Tak jest. (*Peterson kłania się i chce odejść*)
Panie Peterson! (*Peterson wraca*) Zbliź się...
jesteś zawsze moim intendentem.

P E T E R S O N .

Milordzie!

L O R D .

Nigdy nawet nim być nie przestałeś.

P E T E R S O N .

Czy podobna!

A D E L A .

A, skłoniłeś się nareszcie.

L O R D . (*do Petersona*)

Czy przyjmujesz?

P E T E R S O N .

Czy przyjmuję?..

L O R D .

A więc powinieneś odpowiedzieć na moje zapytanie.

P E T E R S O N .

Milordzie!

L O R D . (*zbliżając Petersona*)

Dla czegoż ona nie inna?..

P E T E R S O N . (*z wahaniem*)

Aby pewniejszym być przebaczenia.

L O R D .

Patrzcież!

P E T E R S O N .

Panie!..

L O R D .

Odejdź, oddal się.

P E T E R S O N.

A twoje słowo milordzie.

L O R D.

Dziś w wieczór niech twoje dzieci wrócą do
mojego pałacu.

P E T E R S O N.

Oh milordzie!.. (*odchodzi, pełen radości*)

SCENA VI.

LORD, ADELA.

ADELA. (*n. s.*)

Juljan prawdę powiedział, szczególny w swo-
jém postępowaniu, ale ma dobre serce.

LORD. (*n. s.*)

Podszedł mię stary, wiedzą o wszystkiém,
kiedy sądziłem że jeszcze dość czasu do tego.

A D E L A.

Milordzie, racz przyjąć moje podziękowa-
nie za to wspaniałe przebaczenie.

L O R D.

Nie wiele zasługi..

A D E L A.

Jednakże jego pomysły skutec..

L O R D.

Nie na długo. Pani, przyszedłem pożegnać
się z tobą.

A D E L A.

Jako, odjeżdżasz milordzie?

L O R D.

Nie obawiaj się, odbierzesz za twój obraz umówioną należytość.

A D E L A.

Oh, nie to...

L O R D.

I cóż?..

A D E L A.

Milord wraca do Londynu?

L O R D.

Nie... zamierzam podróż nieskończenie dłuższą.

A D E L A.

Przebacz mi... chciałabym wiedzieć...

L O R D.

Jak nazywacie te wieże tam na dole?

A D E L A.

Wieże kościoła Boga Rodzicy.

L O R D.

Dziś rano, mierząc okiem jej wysokość, mówiłem sobie: że człowiek nieszczęśliwy, zagrożony w rozpacz, któryby dla stargania cierpień, rzucił się w prostopadłej linii z ich wierzchołku...

A D E L A.

Co mówisz!.. Wielki Boże! jakie myśli...

L O R D. (n. s.)

Zadrżała.

A D E L A.

W twoim wieku, chcieć skrócić życie?

L O R D.

Dziś odebrałem smutne nowiny.

A D E L A.

Cóż takiego?..

L O R D.

Nieszczęście bez ratunku... straciłem wszystko!

A D E L A.

Nieba!

L O R D.

Proces... sprzedano moje hrabstwo... pozbawiono mię bogactw, znaczenia... stałem się nędzarzem, jakich dawno nie żywiłem.

A D E L A. (n. s.)

Dla czegoż to wzruszenie radości. (głośno)
Czy być może, milordzie?

L O R D.

Już nie lord, ale najnędźniejszy z ludzi.—
Sądzę, że to są dostateczne pobudki, aby...
(wskazuje rzucenie się z góry na dół)

A D E L A.

Co śmiesz mówić, ciebież niepomysłność znajduje bezsilnym?

L O R D.

Ale powtarzam ci, nie mam nic.

A D E L A.

Czyliż nie pozostajesz sam sobie.

L O R D,

Tak, prawda... ciężar...

A D E L A.

Trzebaż, abym siebie stawiała ci za przykład? Milordzie, ja także urodziłam się wśród dostatków, jak ty, miałam imię i przodków; a jednak kiedy mię dosięgło nieszczęście, stała kobieta walczyłam, przewyciężyłam los nieżyczliwy, a stawiając mu śmiałe czoło, dowiodłam, że nie zasłużyła na niego. Panie, idź za moim przykładem; ah! lękałabym się zawstydzić cię, gdybym się ośmieliła wątpić o twojej odwadze.

L O R D.

Przebacz mi, ale dla ciebie życie miało powaby; zostawali ci przyjaciele, krewni...

A D E L A.

Aby mię pocieszać...

L O R D.

Albo może przedmiot sercu luby?..

A D E L A.

Nie.

L O R D.

Nie?

A D E L A.

Nie milordzie.

L O R D.

Ab panno Adelo!..

A D E L A.

Cóż?

L O R D.

Więc nie potwierdzasz myśli..?

A D E L A.

Wstydź się, ta myśl nie mogła być twoją...
odważnie, wspomnij na twoją rodzinę.

L O R D.

Nie mam jej.

A D E L A.

Na twoich przyjaciół.

L O R D.

Moje dobra sprzedane.

A D E L A.

Nakoniec na osobę..! Jako niemasz że niko-
go dla którego byś życie przyjemném znaj-
dował?

L O R D.

Któż w obecnem położeniu zajmie się moją rozpaczą?.. Nikt...widzisz więc sama, że lepiej wrócić do pierwszego zamiaru.

A D E L A.

Na imię Nieba!..

L O R D.

Bledniesz, tracisz siły? czy ty chcesz abym ja żył?

ADELA. (*wahając się*)

Ah...tak.

L O R D.

Więc dni moje, mają jakąś wartość dla ciebie?..i dla czegożbyś mię nie kochała?..ja kocham cię do szaleństwa! milczysz.

A D E L A.

Milordzie, jeżeliby to mogło cię wstrzymać od popełnienia zbrodni, wyznałabym...

L O R D.

Ah co za szczęście! ale zaklinam cię, nie zwódź mię, nie zwódź samej siebie; zapytaj się serca twojego; gdyby to była tylko li-
tość!

A D E L A.

Zasługiwałbyś na nią milordzie!

L O R D.

Jakto! pomimo tego co ci doniosłem, pomimo mojego ubóstwa.

A D E L A.

Podziękuj mu, twojemu ubóstwu winienes moje wyznanie.

L O R D.

Nie, nie, Adelo, nie jestem nędzarzem, ale niegodnym ciebie!.. Ah to jest cios który powinien zakończyć moje życie.

A D E L A.

Jeszcze! oh Boże!

L O R D.

Tak, popełniłem czyż niegodny?

A D E L A.:

Ty!

L O R D.

Niedowierzając ci.

A D E L A.

Nie rozumiem.

L O R D.

Ah, przebacz! (*klęka*)

A D E L A.

Powstań.

L O R D.

Skoro pozyskam przebaczenie...

SCENA VII.

LORD, ADELA, MARJANNA.

M A R J A N N A.

Co widzę? Lord u nóg Adeli! Panie...to moja córka, i chociaż lordem jesteś...

LORD. *(powstając)*

Uspokój się dobra kobieto, uspokój się. *(do Adeli)* Pani...jestem lordem i parem Anglii, mam 50,000 fuutów 'szterlingów rocznego dochodu, wolny, w obliczu téj która ci zastępuje miejsce matki, błagam cię oddaj mi twoją rękę...

M A R J A N N A.

Możesz to być!

A D E L A.

Co słyszę!

L O R D.

Tak, zwiodłem cię...jestem bogaty, zawsze bogaty... okropnie!

M A R J A N N A.

Okropnie?

L O R D.

Tego sobie nigdy nie przebaczę.

M A R J A N N A.

Ah to pięknie! nie wiesz więc może, że całym majątkiem mojej córki?..

L O R D.

Są tylko cnoty, wiem o tém...

M A R J A N N A.

I przyjmujesz je za posag!

L O R D.

Więcej one mają ceny w moich oczach jak moje bogactwa. Niepokonane uprzedzenia obarczały mię, uwolniłem się z nich, przejęty odrazą dla płci waszój, tyś mię rozbroiła. Panno Adelo, racz ustalić mój los, powrócę... (*patrzac na zegarek*) za godzinę, po twoją odpowiedź i przebaczenie. Mam nadzieję... (*n. s.*) Tym razem nie zawiodłem się! (*głośno*) Żegnam cię panno Adelo! do widzenia! (*kłania się i wychodzi*)

S C E N A VIII.

ADELA, MARJANNA.

M A R J A N N A.

Ah otóż moje marzenie spełnione! uściskaj mię.

A D E L A.

Moja dobra Marjanno, co za niespodziewany wypadek!

M A R J A N N A.

Jeszcze nie mogę pojąć jak się to stało.

A D E L A.

Cóż ci powiem? wyznał mi...

M A R J A N N A.

Wierzę bardzo. Któżby cię nie kochał.

A D E L A.

I podstępem poznał skrytość mojego serca.

M A R J A N N A.

Więc kochałaś go?

A D E L A.

Nie wiedząc o tém.

M A R J A N N A,

Dla tego i ja nie wiedziałam także! drogie dziecię jak będziesz szczęśliwą! Pałace, karety, służący. Oh Boże! jak ja to lubię, i zobaczysz jak ich będę prowadziła.. trzeba mię było widzieć u twojego ojca...

A D E L A.

Marjanno...

M A R J A N N A.

Tak się cieszę, że płaczę z radości... pocziwy człowiek, przyjechać umyślnie z Anglii aby...i jeszcze błaga o przebaczenie! masz je mój synu, masz!

A D E L A.

Oh moja dobra matko, cokolwiek za prędko postępujesz, jeszcze nie odpowiedziałam.

M A R J A N N A.

Co, co? co u ciebie w głowie!

A D E L A.

Cicho...ani wzmianki przed Juljanem.

M A R J A N N A.

Juljan! czekaj, każę mu oddalić się.

A D E L A.

Matko, proszę cię...

S C E N A IX.

ADELA, MARJANNA, JULJAN.

J U L J A N.

Ah to co za przyjęcie! gniewasz się że mię widzisz; pociesz się dobra matko, to jest wizyta pożegnania. (*kładzie kapelusz na stole*)

A D E L A.

Jakto, czy wyjeżdżasz?

J U L J A N.

Myślę że najlepiej uczynię, ponieważ mię nie chcą.

M A R J A N N A.

Gdzież jedziesz?

J U L J A N.

Do Londynu.

M A R J A N N A.

Do Londynu, w Angliji?

J U L J A N.

Aha, mówią że to w tamtej stronie. Wła-

śnie zawarłem umowę z wydawcą karykatur.
Jeżeli macie jakie polecenia...

M A R J A N N A.

Polecenia? my...właśnie też, my także...

A D E L A

Marjanno!..

M A R J A N N A.

Prawda, odchodzę, bo tajemnica jest mę-
czarnią dla mnie. Dobrej podróży Juljanie.
Adelo, idziesz?

A D E L A.

Natychmiast.

(Marjanna wychodzi)

SCENA X.

JULJAN, ADELA.

J U L J A N.

Co jej się stało? Pragnąłem żeby nas sa-
mych zostawiła. Ciągle zajmowałem się tobą.

A D E L A.

Jakżeś dobry!

J U L J A N.

Mały podarunek artysty, patrz, twoja mi-
niatura, odeszłę ci ją wkrótce, jak tylko do-
kończę.

ADELA. (*biorąc miniaturę*)

Wiele pochlebstwa!

JULJAN.

Rzecz szczególna, o to mię jeszcze nikt nie obwinił; ale przejdźmy do rzeczy ważniejszych: powziąłem wiadomość o lordzie Rutland.

ADELA.

Już?

JULJAN.

Nie mogłem znaleźć jego intendentą, ale mówiłem z całym jego dworem, sąsiedztwem. Ah moja siostró, to jest straszliwy człek.

ADELA.

On! cóż takiego uczynił?

JULJAN.

Nie wiem; ale zaręczam ci, niedowierzający, złośnik, uparty, dziwak; słowem, stworzony inaczej, jak wszyscy ludzie.

ADELA.

Boże!

JULJAN.

Wspaniały, wielka zasługa, mając pieniądze może i ja byłbym wspaniałym, gdybym je miał.

ADELA.

I nic więcej nie wiesz!

JULJAN.

Czy nie dosyć?

ADELA.

Tak jest, ale...

JULJAN.

Ale ty trwasz w swoim, obstajesz uporczywie.

ADELA. (*n. s.*)

Teraz nie śmiałabym wyznać.

JULJAN.

Byłem tego pewny; oh! niech najrozumniejsza kobieta ma tylko jaką miłośćkę w głowie... Ale nie mówmy o tém, i czyni co ci się podobą; ja wyjeżdżam. (*zwraca się ku pawilonowi*)

ADELA.

Gdzież idziesz?

JULJAN.

Po moje szkice, które ci zostawiłem.

ADELA.

Gniewasz się?..

JULJAN.

Tu w tém nie ma gniewu... ja tylko chcę wziąć moje szkice...

ADELA.

Ostrożnie koło mojego obrazu..

JULJAN. (*otwiera drzwi od pawilonu*)

Ah! otóż twój obraz; cóż to jest? przedmiot z historji greckiej. *Agamemnon*, bardzo pięknie, co do *Achillesa*...

A D E L A.

Cóż?..

J U L J A N.

Skrzywił się jak Anglik; gdzie u kata bierziesz wzory? ah, domyślam się, pewno z twojego lorda Rutland; ale ja muszę zmazać, to szkodzi obrazowi.

A D E L A.

Nie, nie...

J U L J A N.

Musimy jeżeli nie zmazać, to poprawić.—
(*wchodzą razem do pawilonu*)

SCENA XI.

LORD RUTLAND. (*sam, potem*) ADELA I JULJAN.

L O R D.

Co za miasto, jacy ludzie! śledzić moje kroki, wybadywać służących o mój majątek, znaczenie, o moje upodobania i nałogi. Jakis młody człowiek, Julian Prévot...któż on jest,

jakież miał powód?.. Spóźniłem się... Nie ma nikogo, zapewne rozważają moją prośbę; dobrze... czekajmy. (*siada*) Czy ją przyjmie?.. spodziewam się... a jednakże rozważywszy, może powinienbym obawiać się... Nigdy nie można być pewnym... Co, jeszcze wątpliwość!.. Adela... to anioł!.. ah, i tamta była aniołem, a w chwili... kiedy byłbym za jedno jej słowo chętnie oddał życie, ona... (*jego ręka pada na kapelusz Juljana*) Kapelusz modnisia. (*czyta w środku*) Juljan de Prévot... ah, to ten sam... (*wstaje prędko*) On jest tu... słyszę mówiących w pawilonie. To głos Adeli! jest tam! »Nie przyjmuję nikogo w mojej pracowni,« mówiła, a ten człowiek, który tam jest.. to rywal... Otóż powody wybadywań, do których niezawodnie była pobudką ona i ja... ktoś idzie... (*ukrywa się za gęstwą drzew, przed pawilonem będącą*)

JULJAN. (*śmiejąc się*).

Ah, ha! dajże mi pokój! com ci powiedział wchodząc, jeszcze powtarzam: musisz mi u-

czynić ofiarę z twojego Anglika... skrzywił się okropnie, to w bardzo złym guście.

L O R D.

Zuchwały!

J U L J A N.

Żegnam cię, lecz gdyby jaki smutek zagrażał twojemu szczęściu, skrócę moją podróż, aby czuwać nad twoim losem.

A D E L A.

Jestem tego pewna.

L O R D. (n. s.)

Zdradziła mię!

A D E L A.

Wkrótce napiszę do ciebie.

J U L J A N.

Spodziewam się.

L O R D. (n. s.)

Piekła!

J U L J A N.

Ah zapomniałem twojej miniatury.

A D E L A.

Oto ją masz! (*Juljan żegna się z Adela, i odchodzi wgląd, a Adela do pawilonu*)

L O R D. (n. s.)

Niegodna!

S C E N A XII.

LORD. (*sam*)

„Ofiarę z twojego Anglika!“ Przekleście! nie, nie podobnego jeszcze nie widziałem! Co za podstępny, jakie ohydne rachuby! Zwiedziony przez nią, zwiedziony jeszcze raz...ah, nie słuchałem głosu przeczucia! Uważałem ją jako wyjątek z tej zwodniczej płci; nowy dowód że wszystkie są takie. A ta najgorszą ze wszystkich, szczęśliwa gwiazda właśnie w sam czas mię tu przywiodła, spekulowano na mój majątek, na moją dobroduszość i chciano ze mnie zrobić męża podług mody, o nie, nigdy!

S C E N A XIII.

LORD, PETERSON.

P E T E R S O N.

Milordzie!

L O R D.

Czego chcesz?

P E T E R S O N.

Przyjechali oba Notarjusze.

L O R D.

Co za notariusze?

P E T E R S O N.

Których żądałeś milordzie. Przywiozłem ich sam w twoim powozie.

L O R D.

Bardzo dobrze panie Peterson, wszyscy porozumieliście się aby mię uszczęśliwić!

P E T E R S O N.

Prawda, a ja mogę sumiennie powiedzieć, że się więcej do tego przyczyniłem jak kto inny.

L O R D.

Ty!

P E T E R S O N.

Tak jest, tego poranku uwiadomiłem młodą osobę o uczuciach pańskich.

L O R D.

Tego poranku! ah! wiedziała o tém? (n. s.) teraz mię nie dziwi jej pomieszanie, jej wspaniałomyślna litość...udanie... piekielne udanie!

P E T E R S O N.

Wstydzę się że nie umiałem milczeć, ale ponieważ wszystko szczęśliwy obrót wzięło...

L O R D.

Bardzo szczęśliwy!

P E T E R S O N.

Ponieważ milord jest zadowolony, cieszę się...

L O R D.

Nędzny!

P E T E R S O N.

Boże! co to znaczy?

L O R D.

Nic, oh nic! Czy widziałeś tego młodzika który się ztąd oddalił?

P E T E R S O N.

Ah ten wesoły, żartowniś... Widziałem mi-
lordzie, już to drugi raz dzisiaj, zastałem go
bowiem tutaj tego rana.

L O R D.

Tego rana, a zawsze tego rana!..(przecho-
dzi na lewą stronę sceny) był to dzień! poj-
muję teraz... odeszlij notarjuszów.

P E T E R S O N.

Jakto!

L O R D.

Bądź posłusznym.

P E T E R S O N.

Więc milord już się nie żeni?

L O R D.

Czy słyszałeś?

P E T E R S O N.

Ale czy powozem?..

L O R D. (wściekły)

Peterson!

P E T E R S O N.

Dobrze milordzie, jestem posłuszny! (*n. s.*)
nie rozumiejąc podług zwyczaju! (*odchodzi*)

S C E N A XIV.

LORD. (*sam*)

Znała stan mojej duszy, pobudzała mię do mówienia, aby potem porozumieć się ze swoim kochankiem. To staranne dopytywanie się o mnie...ich rozmowa, ucinki...pożegnania, miniatura...i nie ukarać ich! Cały majątek stracę aby mieć zemstę godną tej zbrodni! Precz z gniewem! zemsta zimna, spokojna, wyrachowana jak ich zdrada; bo rozgłosić mój zamysł i zerwać go...śmiałyby się z tego. Oh! gdybym miał jakie do niej prawa! Prawa! dla czegoż ich mieć nie mogę? może być moją żoną, żoną Anglika! oh co za myśl! Nędznie, już jesteście w moich rękach! jestem waszym panem, mój kraj, jest ziemią sprawiedliwości. Ukarzę w Adeli zdradę wszystkich kobiet! Naśladujmy ją, naśladujmy kobiety, zwodźmy. Adela! zimna krew, trzeba być panem siebie!

SCENA XV,

LORD, ADELA, MARJANNA.

MARJANNA.

Dobry panie, czekałeś na nas, nie moja wi-
na. Biedne dziecię, ma jakieś uwagi.

LORD.

Uwagi...cóż mogło być powodem?

ADELA.

Sposób jakiego użyłeś aby poznać moje u-
czucia...Tak, to podejście czyliż nie dowodzi
braku ufności a tém samém i szacunku. A je-
ślibyś później zarzucal mi, że kerzystałam z niero-
zważnej namiętności, która mi ciebie oddawa-
ła bez obrony.

MARJANNA.

Nie przeżyłaby tego.

LORD.

Uspokójcie się, co dzisiaj myślę, myśleć bę-
dę zawsze. (*n. s.*) Tak młoda, a tak przebie-
gła! (*głośno*) Panno Adelo, cóż cię jeszcze
wstrzymywać może?

ADELA.

Twój majątek milordzie.

LORD.

Mój majątek!..zuasz go...tak...w istocie jest!

bardzo wielki. Teraz dopiero czuję całą jego wartość.

M A R J A N N A.

Jaka delikatność! moje dziecię, milord daje ci tak piękne dowody przywiązania.

ADELA. (*do Marjanny*)

Cheesz mojego szczęścia, powinnam uleźć! A więc milordzie, ufna w twoje przywiązanie, złożę moje przeznaczenie w twoje ręce.

L O R D.

Ah, tego pragnąłem!!

M A R J A N N A.

Jak ona będzie szczęśliwą!

L O R D.

Teraz powinnaś zająć się przygotowaniem do odjazdu.

A D E L A.

Do odjazdu?

L O R D.

Bez wątpienia. (*n. s.*) Namysła się...

A D E L A.

Dla czegoż to?

L O R D.

Tu na stałym lądzie, jestem tylko nieznanym podróżnym. W Londynie jestem lordem Rutland, człowiekiem możnym, w znaczeniu.

A D E L A.

Skromność i prostota są mi najmilsze.

L O R D.

Nie, nie, powinnaś jaśnieć, słynać w świecie.

A D E L A.

Jechać z tobą milordzie, niepodobna.

L O R D.

Nie; pojedziesz sama, w twoim powozie z Marjanną, twoją przybraną matką, i Petersonem, którym się opiekowałaś. Będziesz mieszkać w pałacu dalekim od mojego, będziesz wolną, aż do dnia, który spełni moje i twoje życzenia. Jeszcze się wahasz?

M A R J A N N A,

Tyle dobroci! nie, ona nie waha się, jestem pewna. No i cóż moja Adelo?

ADELA. (*do Marjanny*)

Pojedziemy.

L O R D.

Co za szczęście. (*n. s.*) Nakoniec jestem
jój panem!

SCENA XVI.

MARJANNA, ADELA, LORD, PETERSON.

P E T E R S O N.

Milordzie, odesłałem obu notarjuszów.

L O R D.

Dobrze. Wracaj do pałacu, powóz jak naj-
prędzej; Patrick, John i ty, pojedziecie z te-
mi paniami; konie do Calais.

P E T E R S O N.

Jako, te panie pojedą do Londynu?..

L O R D.

Dziś, tego wieczora nawet.

P E T E R S O N.

Oh mój Boże! czy milord się żeni?

L O R D.

Panie, poczyńcie przysposobienia do podró-
ży, bardzo małe; w Londynie, w jednym z mo-
ich pałaców, wszystko będzie przygotowane.
Tam nas miłość wzywa, tam wszystkie moje
cierpienia się ukończą!

A D E L A.

Tobie mój los oddaję.

L O R D.

Obym jak najprędzej mógł się mężem twoim nazywać! (*żegna się z Adelą i odchodzi*)

(*Zastona spada.*)

KONIEC AKTU PIERWSZEGO.

AKT II.

(Scena przedstawia salon gotycki wspaniale umeblowany. Na ścianach obrazy rodziny. Po obu stronach gabinety.)

SCENA I.

PETERSON. (wchodząc, mówi za scenę)

Zanieście te kaszmiry, te koronki, zgoła wszystkie ozdoby do panny de Sancey, (zbliżając się) która za godzinę zostanie lady Rutland. Ale mnie niepokoję postępowanie milorda. Wszystkie ofiary są niczem dla niego, aby tylko jak najprędzej posieść swoją piękną narzeczoną, a jednakże zdaje się jej unikać; i im bardziej ta chwila się zbliża, tem bardziej okazuje się ponurym, niespokojnym, wzruszonym. A potem ten tłum prawników, którymi się otacza bezustannie od przybycia swojego do Londynu, te potajemne narady... ta ostrożność... to wychodzenie, wracanie... nasz pałac podobny do starego gmachu *White Hall*. —

Drzwi pozamykane, wszędzie snują się tylko jakieś złowroźne postaci. Czyby się sprzeciwiano małżeństwu? Nikt nie ma prawa...Próżne obawy, naśladowmy raczej spokojność tej młodej istoty... (*słychać sprzeczkę za sceną*)
Ale któż to... pomimo przykazu mojego?..

SCENA II.

JULJAN, PETERSON.

JULJAN. (*klóćąc się ze służącymi*)

Powiadam wam, że muszę wejść. Chcę mówić z intendentem milorda.

PETERSON.

Nie myślę się, tak, to ten młodzieniec...

JULJAN.

Jak się masz panie Pater... czy Peterson.

PETERSON.

Poznajesz mię pan?

JULJAN.

Poznałbym cię między tysiącem.

PETERSON.

Czegóż pan żądasz odemnie?

JULJAN.

Istotnie nie ciebie szukam; ale panna Adela de Sancey jest w Londynie, tu nawet w tym domu, należącym do lorda Rutland.

P E T E R S O N .

Nie mię nie obowiązuje odpowiedzieć panu.

J U L J A N .

Ja cię też nie pytam wcale. Dowiedziałem się o jej przybyciu i przychodzę złożyć moje uszanowanie.

P E T E R S O N .

To nie podobna. Mój pan zabronił.

J U L J A N .

Jakiem prawem?

P E T E R S O N .

Niewiem.

J U L J A N .

Ale ja zgaduję przyczyny. Przysięgnij mi tylko na sumienie: że panna de Sancey i jej dobra matka, przyjechały tu bez obawy i dobrowolnie.

P E T E R S O N .

Przysięgam.

J U L J A N .

Kiedyż ślub?

P E T E R S O N .

Za godzinę.

J U L J A N .

Dziś! I nie uwiadomić mię o tem wiedząc że jestem w Londynie, ani kilku słów. Ah.

domyślam się, nieśmiały z przyczyny dawnych moich zamiarów. Biedna Adela, kochałem ją!.. Ale na koniec, jest szczęśliwą, cieszę się. Już nie potrzebuję widzieć się z nią, dość mi będzie napisać.

PETERSON. (*przynaglając go do wyjścia*)
Panie.

JULJAN. (*przy drzwiach w głębi*)
Dobrze, dobrze, już idę...Ale kogóż ja to widzę w przedsiönku...ten człowiek czarny?..

PETERSON.
Czeka przybycia milorda. Pan go znasz?

JULJAN.
Czy go znam?..to jest Numer 1, mojej olbrzymiej galerji.

PETERSON.
Ale na koniec...

JULJAN.
Woźny publiczny z targowiska, *Smith Field*.

PETERSON.
Woźny!

JULJAN.
Lepszego profilu nie znajdzie w karczmie Ashlej; zwłaszcza kiedy wypełnia swój obowiązek. Ani chwili nie spoczywa. Cóż milord chce od niego?

P E T E R S O N .

Nie wiem.

J U L J A N .

Chciałżeby mi zabierać moje wzory, małoz
ich ma w parlamencie?

P E T E R S O N .

Dla Boga słyszę powóz milorda!

J U L J A N .

Tak, prawda...twarz za posępna, jak na pa-
na młodego.

P E T E R S O N .

Ah oddał się pan, przez ten pokój w głę-
bi.

J U L J A N .

Bądź zdrow panie Peterson. Ale przysię-
gasz mi że ona będzie żoną tego lorda, któ-
ry więcej wart niżeli jego fizjonomja.

P E T E R S O N .

Przysięgam przed Bogiem!

J U L J A N .

Dosyć mi na tém, niech będzie szczęśliwą.
(*Peterson otwiera mu drzwi do pokoju na le-
wo, Julian odchodzi*)

P E T E R S O N . (*sam*)

Już był czas!

SCENA III.

LORD, PETERSON.

LORD. *(za sceną do kilku służących)*

Powiedzcie niech będą gotowi do ostatniego rozkazu. Najmniejszego pośpiechu przed czasem, i najmniejszego opóźnienia potem. *(do Petersona)* Moje rozkazy wypełnione?

PETERSON.

Mac Adams jubiler, i Salsbury sprzedający materje, tylko co się oddalili. Panna de Sancej odebrała podarunki.

LORD.

'To dobrze, ozdobiona mojemi dary, będzie piękną, bardzo piękną. Czy był kto? John mówił mi.

PETERSON.

Młody Francuz chciał widzieć się z temi damami.

LORD.

Francuz, jego nazwisko?

PETERSON.

Widzieliśmy go w Paryżu..

LORD.

Juljan de Prévot?

PETERSON.

On właśnie.

LORD. (*n. s.*)

Juljan w Londynie! Nie zwiedziono mię...
Pojechał za nią, a ja łagodziłem się już w gniewie... (*głośno*) Powiedziałaś mi o mojem małżeństwie.

PETERSON. (*z obawą*)

Tak jest milordzie.

L O R D.

Dobrze, on będzie obecnym. Za godzinę...
Godzina jeszcze! jaka męczarnia!

P E T E R S O N.

Pojmuję twoją niecierpliwość milordzie.

L O R D.

Nie, nie rozumiesz mię. Mówmy o czém innym. Czy kazałeś przygotować mój powóz podróżny.

P E T E R S O N.

Stosownie do rozkazu Milorda, za dwie godziny czekać będzie przed *Smith Field*.

L O R D.

Nadewszystko ani wzmianki przed milady o tych przygotowaniach do podróży.

P E T E R S O N.

Przed milady?

(60)

L O R D.

I jej matce, tej Marjannie.

P E T E R S O N.

Czy one nie pojedą z Milordem?

L O R D.

Jakie masz prawo pytać mię? Nic nie wiesz, nic nie widziałeś, nic nie słyszałeś?. A prócz tego pamiętaj żądam milczenia, zupełnego milczenia. Pomnij na twoje dzieci.

P E T E R S O N.

Ale...

L O R D.

Ani słowa więcej! (*Peterson wychodzi*)

S C E N A IV.

L O R D. (*sam*)

Zaledwie nie wydałem tajemnicy. Ale jakże się wstrzymać. Tu w mojej prawie obecności schodzą się...i nie przestają mię znieważać; ani chwili przerwy; zawsze, zawsze! aż do stopnia ołtarza. Biada jej! biada! Z początku chciano mię zastraszyć skutkami mojej zem-

sty... ale wszystko zwyciężyłem... wiele mię kosztowało. Stawać trzy razy przed badającami, trzy razy się podpisywać, i składać moje oskarżenia i dowody... Już dogorywała moja cierpliwość. Nakoniec za godzinę będzie nosić moje nazwisko... tak, będzie je nosić... za godzinę!!.

SCENA V,

MARJANNA, ADELA, LORD.

MARJANNA.

Ah to ty szlachetny milordzie, uwielbialiśmy twoje wspaniałe podarunki.

LORD.

Zaledwie godne uwagi panny.

ADELA

Ah milordzie, nie jestem niewdzięczną! ale widzę cię tu pierwszy raz od naszego przybycia, i niespokojność zagładza wszelkie iane uczucia.

LORD. (*n. s.*)

Wszelkie inne uczucia! (*głośno*) Tak, kochanna miss, masz prawo uzalać się na innie; ale przygotowania, o których nie wiesz, konieczne

obowiązki... z jakąż niecierpliwością pragnąłem doczekać tego dnia, który zakończy moje cierpienia!

M A R J A N N A.

I stanie się początkiem waszego wspólnego szczęścia. Adelo, jeżeli teraz nie widywałeś lorda tak często, to dla tego, abyście się już nigdy nie rozłączali.

A D E L A.

Jeżeli tak jest, przebaczam ci.

L O R D.

Nie miej mi więc za złe, że cię tak wcześnie opuszczam.

A D E L A.

Jeszcze?

L O R D.

Czas upływa... obrzęd ślubny ma odbyć się w południe.

M A R J A N N A.

Milordzie, jam już gotowa, co do mojej córki, jeszcze coś odmienić, dokończyć... Przy mojej zręczności, za parę minut będzie zupełnie ubrana.

L O R D.

Pójdę wydać ostatnie rozkazy, i wkrótce

przyjdę po ciebie. (*chwieje się, i wspiera na stole*)

A D E L A.

Nieba! cóż ci jest? (*do Marjanny*) Zawołaj służących..!

M A R J A N N A.

John! Patrick!

L O R D.

Nie, nie, zostań... już mi dobrze... bardzo dobrze... cokolwiek utrudzenia...

M A R J A N N A.

A potem wzruszenie... rokosz...

L O R D. (*z wylaniem*)

Adelo!

A D E L A.

Milordzie!

L O R D. (*powściągając się*)

Bądź gotową! (*wychodzi spiesźnie*)

SCENA VI.

ADELA, MARJANNA.

M A R J A N N A.

Nie będziesz czekał milordzie.

A D E L A.

Jakie pomieszanie, jaka zmiana w jego ry-
sach! cóż mam sądzić... czegoż się obawiać?

M A R J A N N A.

Wszystko jest bardzo naturalném.

A D E L A.

Czyliżby żałował? O Boże! gdybym mogła być tego pewną..!

M A R J A N N A.

Znowu twoje dziwaczne myśli, od kilku dni nie poznaję cię.

A D E L A.

Bo gdyby on mię nie kochał tyle ile ja, gdyby nie do mnie samej zupełnie miał należeć, tak jak ja do niego należę zupełnie; nie chciałabym ani jego bogactw, ani jego znaczenia, wyrzekłabym się jego ręki, bez posiadania jego serca, nie ma dla mnie szczęścia!

M A R J A N N A.

Ale dla czegoż ta niespokojność? że on smutny, może tu jest taki zwyczaj. (*Adela siada po prawej stronie, przy małym stoliku*) Teraz zajmijmy się twojém ubraniem. (*zapinając jej naszyjnik*) O czémże myślisz jeszcze?

A D E L A.

Doznaję uczucia, którego opisać nie zdołam.

M A R J A N N A.

Oh ja go łatwo opiszę... diamenty takiej wielkości, zawsze sprawiają wzruszenie...

A D E L A.

Zbłądziłam może, porzucając życie niezawisłe, zawód artystki, tak wolny od trosk, kiedy go upiędniamy pracą i wesołością.

M A R J A N N A.

Słowo w słowo jak Juljan!

A D E L A. (*wstaje i przechodzi na lewo sceny*)

Juljan! biedoy, on także mieszka w Londynie; gdyby wiedział że my jesteśmy tak blisko niego.

M A R J A N N A.

Nie trzeba go uwiadamiac o tém, gotowby ci dac jeszcze jakie złe rady.

SCENA VII.

TEŻ SAME, JOHN.

J O H N.

List, z pudełkiem zapieczetowanem.

A D E L A.

Do mnie?

J O H N.

Tak, miss.

M A R J A N N A.

Jeszcze podarunek.

A D E L A.

Kto ci oddał?

J O H N.

Lokaj najemny, od pana Juljana.

A D E L A.

Od niego! oh moja Marjanno!

M A R J A N N A.

Dziwnie... właśnie w chwili kiedy o nim była mowa!

A D E L A.

Daj!

J O H N. (n. s.)

Idźmy, donieść o tem milordowi. (odchodzi).

S C E N A V I I I .

M A R J A N N A , A D E L A .

M A R J A N N A .

Tęgo się obawiałam...

A D E L A . (czytając)

»Kochana przyjaciółko, siostró moja! Do-
»wiedziałem się z radością, że zaślubiasz lor-
»da Rutland!..«

M A R J A N N A .

Dotąd dobrze idzie.

ADELA. (*czytając*)

»Jednakże nie mogę zrozumieć tajemnicy,
»którą osłaniasz twój blizki związek... nie u-
»fasz mnie, przyjacielowi twoich lat dziecin-
»nych.« (*przerywając sobie*) Prawda, to źle.
»Aby ci dowieść że nie mam najmniejszej u-
»razy, wyznaję ci otwarcie, że objaśnienia któ-
»re powziąłem w Paryżu, pomnożone mojem
»nieukontentowaniem, za daleko mię posunę-
»ły wzdaniu o lordzie Rutland..Mówią: że to
»jest zacny oryginał, któremu nie zbywa na
»odwadze i który w potrzebie mógłby ucho-
»dzić za artystę...

M A R J A N N A.

Piękna pochwała..

A D E L A.

»Do listu przyłączam pudełko z twoją mi-
»niaturą, będzie to podarunek ślubny dla two-
»jego męża...najprzyjemniejszy.. Co do moje-
»go majątku jestem na dobrej drodze...

M A R J A N N A.

Niepodobna!

A D E L A.

»Mój wydawca, chce mi dać swoją córkę
»za żonę; zacząłem tu moją sławę; wybornymi

»przedstawieniem obwoływanca publicznego
»w *Smith Field*. Co do ciebie, zaprzestań już
»malowania tych Achillesów angielskich, jest
»to ofiara o którą cię proszę. Zegnam cię lu-
»ba siostró, bądź szczęśliwą, przyjm życzenie
»tej świętej i słodkiej przyjaźni, która mię
»wiąże do ciebie od naszych igraszek dziecin-
»nych, i która mi nadała imię twojego brata
»i najprawdziwszego przyjaciela.

Juljan de Prévot, Pall-Mall Street.«

Kochany Juljan.

M A R J A N N A.

Wiele dobrego jest w tym liście. Czy już
wszystko?

A D E L A.

»Uścisk dobrej Marjannie.«

M A R J A N N I E.

Nie zapomniał o mnie. A twoja miniatura?
(*otwierając pudełko*) Podobieństwo uderzają-
ce!..ale oprawę bardzo pospolita.

A D E L A.

Ten list wiele mi sprawił radości... wiedząc
już o jego powodzeniu, jestem spokojniejszą.

M A R J A N N A.

Tak, tak, prawda, rumieniec rozjaśnia obli-
cze, jesteś prześliczną, uściskaj mię!

SCENA IX.

TEZ SAME, PETERSON,

PETERSON. *(otwiera drzwi ostrożnie i podobnież
je zamyka)*

Ah pani!

MARJANNA.

Przestraszył mnie!

PETERSON.

Czy tu już nie ma milorda?

MARJANNA.

Nie, wrócił do swojego pałacu.

PETERSON.

Czy pewna pani tego jesteś?

MARJANNA,

Ale tak, dla czegoż to pytanie?

PETERSON.

Bo gdyby mię tu zobaczył, już byłoby po mnie.

ADELA.

Czy znowu.

PETERSON.

Panno, przyrzekłem że się poświęcę dla ciebie w każdym przypadku. ..nadeszła chwila... Uciekaj, opuść ten dom...zapomnij o ułożonym małżeństwie, i wracaj do Francji.

ADELA.

Co słyszę!

M A R J A N N A.

Jakto!

P E T E R S O N.

Uciekaj panna, powtarzam!

M A R J A N N A.

On zwarjował.

A D E L A.

Ja mam uciekać, dla czegoż? objaśnij mię.

P E T E R S O N.

Ah nie pytaj mię pani, drzę cały.

A D E L A.

Jakież mi grozi niebezpieczeństwo. Milord będzie moją obroną.

P E T E R S O N.

Milord mówisz panna...Nie mogę wyjawić wszystkiego, idzie tu o moje życie, a jednakże twoja spokojność mię przeraża...Dowiedz się pani, że moj pan jest w największym gniewie; a ponieważ trzeba pannę uwiadomić...wie już, jak się zdaje, o jej przeszłych błędach.

A D E L A.

Czy ty o mnie mówisz?

P E T E R S O N.

Przebacz mi panna...niedo mnie należy oskarżać cię...ale on wie, że nim go panna poznałaś...jej serce...nakoniec że rywalszczęśliwszy...

A D E L A.

Wychodź Peterson!

P E T E R S O N.

Jeżeli wyjdę nie uwiadomiwszy cię pani o
wszystkiem zginęłaś...

ADELA, MARJANNA.

Jakto!

P E T E R S O N.

Nie znasz naszych praw... Sędzia wszystko
mi powiedział, dowiedz się że to małżeństwo...
Nieba! Milord!

SCENA X.

MARJANNA, ADELA, LORD, PETERSON.

LORD. *staje we drzwiach w głębi*)

Czego chcesz?

P E T E R S O N.

Milordzie... przyszedłem... przygotowania... i-
dę, wychodzę milordzie. (*wychodzi*)

SCENA XI.

LORD, ADELA, MARJANNA.

LORD. (*n. s.*)

Powiedziano mi, że list... (*głośno*) panna zda-
jesz się być bardzo wzruszoną.

A D E L A.

Milordzie czy przyszedłeś zaprowadzić mnie przed ołtarz?

L O R D.

Tak jest.

A D E L A.

Ah!

MARJANNA. (*n. s.*)

Chwała Bogu! myślałam że już nie nie będzie z małżeństwa, ten głupiec tak mnie przestraszył. (*cicho*) Widzisz dobrze że sam nie wiedział co mówił.

ADELA. (*cicho*)

Zostaw mnie z nim.

M A R J A N N A.

Odchodzę...(*oddala się*)

S C E N A XII.

LORD, ADELA, (później) JOHN.

A D E L A.

A więc milordzie, chcesz mnie zaprowadzić do St. James?

L O R D.

Gotów jestem.

A D E L A.

Czy poprowadzisz mnie bez obawy?

L O R D.

Bez obawy.

A D E L A.

I żadna myśl o przeszłości nie przyłączy się..?

L O R D. (n. s.)

Miałaby wiedzieć?

A D E L A.

Milordzie, posłuchaj mię: Nie wiem jakie smutne przeczucie zasępnia ten dzień, który miałam za najpiękniejszy w życiu: opuściłam moją rodzinną ziemię z sercem pełnem radości i nadziei, ale zaledwie ujrzałam się w Angli, ogarnął mię smutek i obawa. Samotność mię otacza, a niespokojność towarzyszy nawet przygotowaniom do ślubu; widzę coś pośępnego, co mię zatrważa i oziębia duszę!.. Nie w takim świetle wyobrażałam sobie nasze szczęście. Nie czynię ci żadnego wyrzutu, moje uczucia się nie zmieniły, ale wolałabym przewyciężyć je i zagrzebać w głębi mej duszy, niż gdybyś je miał kiedyś najmniejszym żalem okupić!

L O R D.

Co za myśl! zerwać ten związek, kiedy wszystko jest gotowém, i publicznie ogłoszoném.

A D E L A.

Niech nagana spadnie na mnie samą, niech wina będzie z mojej strony, powiedzą że jestem występna; osądzą mię niesprawiedliwie... cóż złąd, nieznajoma, obca!

L O R D.

Nie, mam twoje przyrzeczenie, twoją miłość... przynajmniej Adelo tak mi powiedziałaś.

A D E L A.

I powtarzam jeszcze... ale doznaję tego, co dotąd nieznanem było dla mnie. Dawniej, jeden twój wyraz powracał mi spokojność, dziś twoja obecność zdaje się pomnażać jeszcze trwogę obarczającą moją duszę. Ah czuję, że powinnam unikać ciebie.

L O R D.

Dzieciństwo! próżna obawa; cóż ci powiedziano, cóż ci mogli powiedzieć?

A D E L A.

Milordzie, powiedziano mi: że twoja dusza aż do tej chwili wielka i wspaniała, dozwoliła przystępu niecnym podejrzeniom.

L O R D.

Co?..

A D E L A.

Żeś mię obwinił o jakieś przywidziane błędy, sądzisz że cię zwiodła.

L O R D.

Zwiodła! ty wiesz najlepiej, czy to być może... i nakoniec?

A D E L A.

Żeś postanowił zemścić się.

L O R D.

Zemścić się!.. jak?

A D E L A.

Zapewne głośne, hańbiące zerwanie.

L O R D. (n. s.)

Nie wie o niczem. (*głośno*) Zerwanie! panino Adelo, oto moja ręka... i kapitan czeka.

A D E L A.

Jakto, milordzie.

L O R D.

Dosyc więc było obwinić mię, abym w oczach twoich był występny?

A D E L A.

Milordzie!

L O R D.

Patrz na moje postępowanie, ja tylko sądzę sposób postępowania! Czy wątpisz jeszcze?

A D E L A.

Nie, nie... trwasz ciągle w chęci nazwania
mnie swoją żoną; to postanowienie jest najszla-
chetniejszą odpowiedzią: nikt nie zaślubia tej,
którą ma w podejrzeniu. Byłam nierozważną,
wstydzę się mojej obawy, wszystko skończone!

L O R D.

To zaufanie...

A D E L A.

Powinno być zupełnem, dla wynagrodzenia
niesłusznych uprzedzeń... teraz tylko pozostaje
mi dać ci jej zakład... milordzie, masz... (*bie-
rze miniaturę, którą położyła na stole*)

L O R D.

Twoja miniatura!

A D E L A.

Chciałam żeby ją moja ręka wykonała; ale
ofiaruje ci ją przyjaciel.

L O R D.

Przyjaciel!

A D E L A.

Przysłał ją dzisiejszego poranku.

L O R D. (*żywo*)

A list?

A D E L A.

List?

LORD. (*n. s.*)

Ah tego się wystrzegąta...

A D E L A.

Oto jest! od dziś już moje serce nie ma dla ciebie tajemnicy.

L O R D.

Od niego! czegoż się dowiem? (*czyta*) Jej brat, jej przyjaciel od dzieciństwa! byćże to może... co widzę? ta miniatura... te błędne pozory! tak jest, nędzny, nikczemny, w zaślepieniu posądzałem tyle niewinności!

A D E L A.

Posądzałeś!

L O R D.

'Tak, obwinałem cię, nazwałem występna, przeklinałem cię, cnotę samą.

A D E L A.

Jakto milordzie?

L O R D.

Ah, gdybyś wiedziała!.. wielki Boże! czy będzie jeszcze czas? (*idzie do stołu i pisze*) Jest tam kto? John! John!

A D E L A.

Zkądże to wzruszenie... Cóż czynić zamierzasz?

JOHN. (*wchodząc*)

Milordzie...

L O R D.

Siadaj na koń, jak najprędzej, nie tracąc ani chwili; już poprzestaję... niech ci ludzie dziś opuszczą Londyn; powiedz to sędziemu; John, ale powiedz to dobrze. Sto gineów dla każdego z nich i dla ciebie, jeżeli wczas przybędziesz. Spiesz!

J O H N.

Dobrze milordzie. (*wybiega*)

A D E L A.

Co znaczy ta trwoga, drzę cała!

L O R D.

Radość, że cię znajduję niewinną... wstyd, żem cię nie poznał. Ah nigdy mi nie będziesz mogła przebaczyć!

S C E N A XIII.

MARJANNA, ADELA, LORD.

M A R J A N N A.

Milordzie, uwiadomono mię że kapłan już czeka.

L O R D.

Tak prędko!

M A R J A N N A.

Dziedziniec zamkowy napelniony tłumem.
Co za rozkosz przechodzić między nim ja-
śniejąc świetnością.

L O R D. (n. s.)

Jako! lud już wie...

M A R J A N N A.

Cóż milordzie, jedziemy?

L O R D.

Adelo!

A D E L A.

Ah milordzie, któż mię potem bronić bę-
dzie przeciw tak niesprawiedliwej nieufności?

L O R D. "

Moje sumienie...rozpacz moja.

A D E L A.

Oto moja ręka!

L O R D. (n. s.)

Boże, nie odmawiaj mi twojej opieki. (*gło-
śno*) Pójdź! (*bierze ją za rękę i wychodzą*)

S C E N A XIV.

MARJANNA, LORD, ADELA. JULJAN.

JULJAN (*wpadając*)

Wstrzymaj się!

(76)

L O R D.

Jakto!

ADELA, MARJANNA.

Juljanie!

J U L J A N.

Adelo, odrzuć rękę tego zdrajcy.

L O R D.

Co!

J U L J A N.

Powtarzam, puść jego rękę.

A D E L A.

Juljanie, to jest lord Rutland mój mąż!

JULJAN. *(oddzielając ją od lorda)*

Co, twój mąż!.. jeszcze nie, dzięki Niebu.
Czy wiesz jakie były jego podejrzenia, jego
zamiary?

A D E L A.

Przestań, wyznał mi wszystko, przebaczy-
łam mu.

J U L J A N.

Przebaczyłaś! Twoją zgubę, twoją hańbę!

A D E L A.

Juljanie!

L O R D.

Nieszczęśliwy!

J U L J A N.

Będę mówił. (*do Adeli*) Ofiaro zaufania,
jeszcze jeden krok, a zostałabyś...

A D E L A.

Jego żoną.

J U L J A N.

Jego niewolnicą! nie wiesz dokąd cię pro-
wadzi?

A D E L A.

Do ołtarza!

J U L J A N.

Tak, a ztamtąd, dzięki dzikiemu prawu,
którego i najnędzniejszy z pospólstwa zale-
dwie wzywać się nie wstydzi, ztamtąd natarg
Smith Field aby cię sprzedać.

ADELA, MARJANNA.

Wielki Boże!

J U L J A N.

Tak aby cię sprzedać. Mam dowody, świad-
kami twojego ślubu, mieli być sędziy spra-
wiedliwości, słyszę ich jak przywołują swoją
ofiara. Nie, nie wyjdiesz ztąd siostrze, prze-
ciwko twojemu mężowi na mojem łonie szu-
kaj schronienia, siostrze z moich rąk nikt cię
nie wydrze.

ADELA. (*rzucając się w jego objęcia*)
Bracie!

M A R J A N N A.
Co za zgroza!

L O R D.
Ah panie, cóżes uczynił?!

A D E L A.
Jestżem ja przy zmysłach! obwiniać jego o ten czyn haniebny... tybys go nie śmiał tak spotwarzać? (*przechodzi do lorda*) Milordzie, odpowiedz...uniewinnij się! Mogęż wierzyć temu, ja która cię tak kochałam; ja której jedyną byles myślą? tyżbys uknował moją zgubę, i moją niesławę? Milczy! oh Boże! a ja byłabym poszła za nim z ufnością! Biedna! i jeszcze jestem ubrana do tej straszliwej uroczystości, ubrana w jego dary, ah!...depczę je nogami tak jak ciebie odrzucam z mojego serca.

L O R D.
Adelo!

ADELA. (*ucieka do Marjanny przechodząc przed Julianem*)

Oh nie zbliżaj się, nie zbliżaj się! (*do Mar-*

janny) Wspieraj mię. (*Marjanna wyprowadza Adele do gabinetu na lewo*)

JULJAN. (*odprowadzając ich aż do drzwi*)
Czuwaj nad nią, moje miejsce, jest tutaj!

SCENA XV.

LORD, JULJAN.

JULJAN.

Milordzie, jestem przyjacielem, jestem opiekunem tej, którą znieważyłeś. Ty wiesz, jakim sposobem podobną zbrodnię wynagrodzić można?

LORD.

Wiem. (*siada przy stole*)

JULJAN.

Czyliżbys się namyslał?..

LORD.

Nie. (*pisze*)

JULJAN.

Ta zimna krew.

LORD. (*dzwoni i woła*)

Peterson!

SCENA XVI.

JULJAN, PETERSON, LORD. (*przy stole*)

PETERSON

Milord wołał...

LORD. (*pisząc ciągle*)

Oddal tłum napełniający dziedziniec, czekałby napróżno...

PETERSON. (*zdumiały*)

Jakto?

JULJAN.

Milordzie, spiesz się.

LORD. (*do Petersona*)

Potém pójdziesz do panny de Sancey i będziesz ją prosił, aby raczyła jeszcze na chwilę przybyć tutaj, na jedną chwilę do tego salonu.

JULJAN.

Na cóż?

LORD.

Powiesz jej, uważ dobrze, że zastanie tu tylko swojego przyjaciela młodości, swojego brata, opiekuna.

PETERSON.

Dobrze milordzie, idę. Ab mój Boże, cóż się tu stanie? (*wychodzi drzwiami po lewej*)

SCENA XVII.

JULJAN, LORD.

JULJAN.

Milordzie, na cóż czekasz? Jakaż twoja odpowiedź? <http://rcin.org.pl>

LORD. (*skończył pisać, wstaje i wskazując mu pismo*)

Oto jest.

JULJAN.

Jakto?

LORD.

To pismo do panny de Sancey, odemnie.

JULJAN.

Milordzie, śmiesz jeszcze po twoim niegodnym postępku...

LORD.

Ona tu przyjdzie. Oddasz jej sam...proszę cię. A jeżeli po waszej rozmowie, będziesz jeszcze chciał widzieć mię, będę tam...tu z tej strony! (*odchodzi na prawo*) Tam, słyszysz mię! (*wchodzi do gabinetu*)

SCENA XVIII.

JULJAN, (potem) PETERSON.

JULJAN.

Słyszałem dokładnie! Ale nie pojmuję?..

Zostawia mię samego i zamyka się!.. to przecież nie jest środek... Czyliżby się lękał?..

PETERSON. (*wchodząc z lewej strony*)

Czyliżby się lękał? o kim pan mówisz?

JULJAN.

Do króćset katów o twoim panu, który słuchał wyzwania a nie odpowiedział mi.

PETERSON.

On! Byłby to pierwszy raz!.. Jeżeli tak jest, lękałbym się o niego... Gdzież Milord?..

JULJAN.

W tym gabinecie.

PETERSON. (*idzie do drzwi gabinetu*)

Zamknięte, ale ja wiem inne wejście. (*wychodzi głębia*)

SCENA XIX.

JULJAN, ADELA. (*w ubiorze z 1go aktu*)

JULJAN. (*idąc ku niej*)

Droga Adelo, dobrze, bardzo dobrze. Ten ubiór, to przygotowanie... chciałem cię nakłonić do wyjazdu.

A D E L A.

Dziś, nawet w tej chwili wracam do Francji.

J U L J A N.

Jeżeli troskliwość najczulszej przyjaźni może wrócić spokojność twojej udręczonej duszy, bądź pewną uczuć najwierniejszego twojego przyjaciela.

A D E L A.

Tak, ty nie będziesz narażał twojego życia przeciw lordowi, nieprawdaż? Potrzebuję twojej pomocy. Ah, uciekajmy z tą dobrą Marjanną, tak srodze wywiedzioną z błędu. Obym mogła nie unieść ze sobą najmniejszej paniątki niewdzięcznego, którego nieszczęściem kochałam!..

J U L J A N.

A więc zniszczmy wszystko coby mogło przywodzić go twojej pamięci, i ten papier który mi oddał przed chwilą... (*chce go rozedrzeć*)

A D E L A.

Papier?

J U L J A N.

Jego pismo.

A D E L A.

Do mnie?

J U L J A N.

Tak!

A D E L A.

Jakąż ma jeszcze nadzieję? Czego chce?

J U L J A N.

Otóż... (*chce rozedrzeć*)

A D E L A.

Nie, daj.

J U L J A N.

Nie czytać byłoby bezpieczniej.

A D E L A.

Daj, nie obawiaj się. Jego ręka drżała. (*czyta*) »Panno Adelo! zdawało mi się żeś widział
»w tobie samą zdradę, kochałem cię zbyt mo-
»eno, abym nie pragnął się pomścić, i ukno-
»wałem twoją zgubę biegnąc zaślepiony zni-
»szczyć jedyne szczęście. Z tej przyczyny te
»strasliwe rozkazy, których wszystka krew
»moja nie może wynagrodzić, chociaż pragną-
»łem je cofnąć i wygładzić aż do wspomnie-
»nia!« (*mówi do siebie*) To prawda przypomi-

nam sobie, na chwilę przed twojém przybyciem...

J U L J A N.

Co mówisz?

A D E L A.

Gdybyś ty był nie dowiedział się tej nie-szczęśnej tajemnicy; możebym była nigdy o niej nie wiedziała...*(czyta)* »Pan Prevot żądał odemnie zadosyć uczynienia, nie będzie go miał.«

J U L J A N.

Jakto?

A D E L A.

Nie chcę cię narażać na utratę jedynego wsparcia twojego na tym świecie. *(mówi)* Juljanie.

J U L J A N.

Daléj, daléj:

ADELA, *(czytając)*

»Ziemia Rutland stanowi cały mój majątek, »jest twoją... nada ona tytuł hrabiego, para- »Anglii, temu którego wybierzesz... Tak, inny

»będzie twoim mężem, nie będzie już drugiego podobnego mnie lorda Rutland, a nazwisko które powinnaś była nosić zostanie godnym ciebie i czystym jak ty.. Bądź szczęśliwą. Zegnam cię.«

J U L J A N.

Placzesz, drżysz!

A D E L A

Nie będzie już drugiego lorda Rutland. Co za myśl! Gdzież on jest, czy wyszedł z pałacu? Juljanie, trzeba pojsć do niego, zwrócić mu jego dary. Niech żyje, niech żaluje swoich podejrzeń, kochał mię... (*słychać dwa wystrzały w gabinecie po prawej*)

SCENA XX.

CIŻ SAMI, PETERSON, MARJANNA.

PETERSON: (*wchodzi z dwoma pistoletami w rękę*)

A D E L A,

Nieba! (*upada zemdlona na krzesło po lewej*)

J U L J A N.

Adelo!

MARJANNA. (*wbiega przerażona*)

Cóż to jest? cóż się stało, Adelo?

PETERSON.

Ah panie, chciał się zabić...wydarłem mu pistolety, ale on znajdzie inny sposób...pójdź pan.

JULJAN.

Nieszczęśliwy! (*chce iść do gabinetu*)

SCENA XXI I OSTATNIA.

JULJAN, ADELA, MARJANNA. PETERSON. LORD.

(*wychodząc z gabinetu*)

LORD.

Przyjmuję pana wyzwanie, odbierz mi życie, wydrzyj je! Nieba! Adela umiera! (*rzuca się do jej nóg*) Przebacz! przebacz!

ADELA. (*przychodząc z wolna do siebie*)

Edwardzie!.. Ah to on!

LORD.

Adelo przebacz mi, albo umrę u nóg twoich.

ADELA. (*po chwili*)

Ah przyjaciele, stanówcie o moim losie.

JULJAN.

Ja myślę, że on już ustalony, kocha cię...
prawda że miłością nieco posepną... ale to na

sposób angielski... każdy podług swego rodzaju!

L O R D.

Adelo! mogłażbyś mi jeszcze przebaczyć?

A D E L A.

Milordzie...

J U L J A N.

Na to ci odpowie we Francji!

K O N I E C.

**PAMIĘTNIKI
PUŁKOWNIKA.**

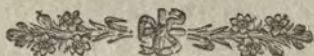
**KOMEDJO-OPERA
W JEDNYM AKCIE,**

z francuzkiego

PP. Scribe i Melegville

T Ł U M A C Z O N A.

Muzyka, JP. Kratzera



PRZEDSTĄWIONA PIERWSZY RAZ

NA TEATRZE ROZMAITOŚCI

dnia 19 Sierpnia 1831 r.

O S O B Y.

GUSTAW, pułkownik	JP. <i>Jasiński.</i>
EMILJA, jego żona	JPi. <i>Moszyńska.</i>
LEON, porucznik	JP. <i>Giżewski.</i>

(*Scena w jedném z miasteczek.*)

PAMIĘTNIKI PUŁKOWNIKA.

(Scena wystawia izbę więzienia, w pierwszej kulisie, po prawej widzów, okno z kratami, nieco dalej po téjże stronie drzwi prowadzące do sypialni Gustawa, w głębi drzwi głównego wejścia, po lewej w pierwszej kulisie, drzwi skryte; w drugiej okno za kratami.)

SCENA I.

GUSTAW. *(siedzi przy stoliku, patrzy na zegarek)*

Ten dzień jest nieskończony!.. Dopiero siódma wybiła na wielkiej wieży, a u mnie już

<http://rcin.org.pl>

przeszło po dziewiątej... zegary w więzieniu zawsze późno idą! (*wstaje*) Ale na honor, siedzieć w kozie, rzecz djabelnie nudna... pierwszego dnia dosyć mię bawiło, lecz przyzwyczajamy się wkrótce do wszystkiego... Szczęśliwie tedy nadszedł dzień ósmy i ostatni, jutro wracam do miasta, jutro zobaczę znowu moją żonę! moją ładną Matyldę. (*przechodząc*) Ale czém się teraz zająć? Już dziś użyłem wszystkich zabaw, jakich mi dozwoliło moje położenie... Przechadzałem się wzdłuż i w szerz; rysowałem plan ostatniej bitwy; śpiewałem wszystkie piosneczki, nawet myślałem już i o mojej żonie; proszę, co ja miałem czasu do stracenia. Ale teraz o kim myśleć? (*zbliża się do okna*) Co widzę? ubiór wojskowy w oknie przeciwległym mojemu... Tak tu u licha linją telegraficzną wyciągnąć. (*powiewa chustką przez okno*) Zobaczył mię, odpowiada na moje znaki... (*mówiąc głośno*) Dzień dobry kolego!.. Jakże ci się powodzi?.. (*slucha jakby odpowiadającego*) Ah! nudzi ci się!.. Ja co innego, ja się dobrze bawię... (*sluchając*) Kto

jestem?.. Gustaw... Pułkownik... A wpan?.. he?..
zaledwie słyszeć można... Leon Porucznik...
Odchodzi od okna... (*oddala się od okna*)
Leon... ah! my się widzieliśmy z sobą... tak,
w czasie ostatniego spotkania, oficer mający lat
17, którego by można wziąć za pannę... który
nigdy nie pije... nie przeklina, a gdy wita ja-
ką kobietę, rumieni się cały. Aha! i! on
w kozie.. Widać, że się puszczać zaczyna... wraca
(*idzie do okna i słucha*) He?.. Chciałbyś ze
mną mówić... i ja także... Spotrzegam pana Słod-
kosza, przechadza się po dziedzińcu z fajką
w ustach... (*mówiąc głośno*) Jak się masz pa-
nie Słodkosz! Czybyś pan nie raczył pozwo-
lić, aby więzien z przeciwka mię odwiedził!..
(*słucha*) Jaktó?.. gdyby mię rozumiano...
(*mówiąc głośno*) A któż mię ma zrozumieć?
Jego sumienie?.. (*n. s.*) Teraz wiem o co idzie.

SPIEW, NRO 1.

Więc się już otworzy brama,
Wiem jak tu czynić wypada;
By opoju pękła tama,
Pieniędzy użyć, to rada.

Gdy strażnik o niewinności
Albo sumienie wspomina,
Własnie wskazuje w skrytości,
(*wyjmuje sakiewkę*)

Ztąd się zwycięstwo zaczyna.

(*rzuca sakiewkę*) Dla pana...tak...a co sumienie zamilkło?.. Wiedziałem, czego mu potrzeba. (*do Leona*) Kolego, otworzę ci drzwi więzienia...Ciesz się to spotkanie; przynajmniej nie przepędzę sam wieczoru...A co się tycze naszego poręcznika, zgaduję dla czego chce mówić ze mną, zapewne pragnie mi podziękować za usługę uczynioną mu w ostatniej wyprawie. Jeszcze się śmieję myśląc o niej, kiedy kule gwizdzą około nas, widzę go poprawiającego rozpięchłe pukle włosów; później w chwilę, już był wpośród nieprzyjaciół, i w największym niebezpieczeństwie, gdy mu ze dwadzieścia pałaszy zagrażało, on schyla się dla podjęcia flakonika z kolońską wodą! (*słychać otwierający się zamek u drzwi w głębi, który znowu zamykają skoro Leon wchodzi*)

SCENA II.

GUSTAW, LEON.

LEON.

Ah! pułkowniku! jakżem szczęśliwy, że cię widzę; pozwolono mi mieszkać aż do jutra w jednej z toba izbie.

GUSTAW.

Tego tylko żaluję, żeś tu przed ośmiu dniami nie przybył.

LEON.

Dziękuję za twoją zniewalającą grzeczność. Jak to, już ośm dni tu jesteś pułkowniku?

GUSTAW.

Tak jest, nigdy jeszcze tak długo w jednym miejscu nie byłem.

LEON

Pułkownika aresztować, kiedy z całej armji, twój pułk najwięcej odznaczył się męstwem.

GUSTAW.

Nie prawdaż?.. Jak ślicznie moi żołnierze postępowali? Tylko i to prawda, żeśmy mieli rozkaz zostać w rezerwie, ale postrzegłszy jazdę nieprzyjacielską, nie wiem sam... mówili jednak moi żołnierze, żeś krzyknął: „naprzód!” Niech mię kule biją, że sobie tego nie przy-

pominam...zdaje mi się, że oni raczej!..Ale ponieważ trudno w kozę wsadzić cały pułk, na mnie więc wszystko spadło; dostałem krzyż, i rozkaz ośmiu dni aresztu.

L E O N.

Kiedyż ja będę tak szczęśliwym!

G U S T A W.

No, no, już się zaczyna...połowę mojego szczęścia pozyskałeś i drugą otrzymasz, jeżeli kiedyś, będziesz tak bronił twojego sztandaru, jak flakonika z kolońską wodą...Ale widzę, że się rumienisz...

L E O N.

Ah mój pułkowniku, zaklinam cię, nie wspominaj mi o tem...Przez ten bowiem flakonik tu się znajduję.

G U S T A W.

Doprawdy...nie sądziłem, ażeby kodex wojskowy przewidział ten przypadek.

L E O N.

Nie dosyć na tem; od owego dnia, ciągle bawiono się moim kosztem; wczoraj słyszałem dwóch oficerów, którzy żarciki sobie ze mnie stroili, a nawet robili kalembury.

G U S T A W.

Kalembury!.. To za nadto!

L E O N.

Jeden mówił: że jestem wojskowy, o wodzie różanej; drugi, że ten postępek w pięknym zapachu umieści mię w pułku. Pojmujesz ile mię to udręczało, chciałem więc dla uniknięcia dalszych sporów, pojedyńkować się ze wszystkimi, i dla tego jestem wareszcie.

G U S T A W.

Ah dziarski młodzian... Pójdzie moim śladem... Na honor, mój młody kolego, mówię szczerze, że bynajmniej nie chcę należeć do liczby tych, z którymi pojedyńkować się miałeś; ale powiedz mi, z kąd pochodzi ta przedylekacja dla jednej flaszeczki z kolońską wodą...

L E O N.

Oh! mój pułkowniku, twoje pytanie, wcale co innego, tobie wszystko mogę powierzyć.. Ta flaszeczka... jest pewnej osoby...

G U S T A W.

Która ci ją darowała?

L E O N.

Tak prawie. Jest to jedyna łaska, którą dō

nieji otrzymałem, i dla tego pragnąłem ją zachować w dowód mojej stałości.

G U S T A W.

Co stałości!.. co za głupstwo!.. ah omyliłem się, nie pójdzie moim śladem.

L E O N.

Więc stałość jest błędem?..

G U S T A W.

Eh! do kroćset czartów... żołnierz, i pyta je-
zycze... słuchaj, chceszli mi wierzyć?

L E O N.

Ah! pułkownik jak najchętniej, wszystko uczynię co mi tylko powiesz.

G U S T A W.

Dobrze więc...(n. s.) pójdzie moim śladem, pójdzie; i wistocie, szkodaby było, żeby złą obrał drogę. (*głośno*) Widzisz mój młody kolego, wszystko zależy na zaczęciu; twoje wczorajsze wyzwanie, to dobre, to obiecuje; ale musisz się pozbyć twoich złych nałogów; mówię jak do mojego syna.

G U S T A W.

Pojmuję... lecz nie myśl pułkownika, że mi na chęci zbywa... nie... tylko, że jakoś nie śmiem.

G U S T A W.

Powiedz mi, jestże ona piękną?

L E O N.

Oh! gdybyś ją pułkownik widział tak jak ja.. Dźwięk głosu, co aż do serca przenika, trzy wieczory z nią spędziłem, jest temu dwa miesiące, gdy wracałem do pułku..

G U S T A W.

Trzy wieczory, nie wiele... twoja wyprawa bardzo mały zakres miała..

L E O N.

Prawda, ale jeden z tych trzech: najszczęśliwszy... był to bowiem bal.

G U S T A W.

Co, bal?... a ten wieczór powinien się podwójnie liczyć... i dalekoż już zaszedłeś?

L E O N.

Oh! w tym dniu byłem nadzwyczajnie śmiały; stałem się panem jej flakonika, rękawiczek, chustki, i ucałowałem wszystko tak skrycie, że ona tego nie widziała.

G U S T A W.

Tam do diabła!..

L E O N.

Co większa, że tylko oddałem jej rękawiczki i chustkę...

G U S T A W.

Ab, teraz domyślam się!.. otóż źródło tego.

nieocenionego skarbu!.. Lecz w tym dniu twojej śmiałości, nie powiedziałaś jej że ją kochasz?

L E O N.

Już byłem blisko tego, ale nie mogłem nigdy... wszystko to napelnia trwogą; i nie pojmuję, jak można tak w oczy uczynić oświadczenie kobiecie... Pułkownik czy odważył się kiedy na to?

G U S T A W.

Czy ja się na to odważałem, ah! mój kochany, ja się na daleko więcej odważałem. Po twojem pytaniu, widzę, że muszę się zupełnie zająć twoją edukacją... Gdybym był przynajmniej skończył moje pamiętniki, teraz właśnie sposobna byłaby pora...

L E O N.

Pamiętniki?

G U S T A W.

Tak jest... dzieło... którego nie dostaje młodzieży... dzieło obyczajów, w którym moje czynności określają... gdzie zawsze stawiam przykład obok nauki. Już od wieku przeszłego mam plan w głowie, ale trzeba będzie zacząć...

L E O N.

A właśnie czas spędzony w areszcie...

G U S T A W.

Był najspósobniejszym... myślałem więc o tém... już nawet tytuł napisałem... możesz zobaczyć. (*pokazując na stoł*) *Mentor* młodzieży, czyli *pamiętniki pułkownika*... Ale do kasta; wyborna ekoliczność... Czy na długo jesteś w tém przyjemném mieszkaniu osadzony?

L E O N.

Do jutro rana.

G U S T A W.

Przedziwnie... tu u mnie noc przepędzisz; po kolacji każę przynieść szampana i będziemy pracować nad naszymi pamiętnikami z kielichem w ręku... Ja będę dyktował, ty będziesz pisał, a tym sposobem podam ci sposobność do nauki.

L E O N.

Ależ pułkowniku... szampan!..

P U S T A W.

Cóż szampan... przestrasza cię!.. możebyś chciał, pisząc dzieło o obyczajach pić wodę? nie, szampan, jest najskuteczniejszą przynętą dla dowiecipu... *bibendo castigat mores*... tak, tak, i ty pić musisz...

L E O N.

Ha, kiedy inaczej być nie może, wystawię się na to niebezpieczeństwo... zaczynajmy... wielką mam chęć do nauki...

G U S T A W.

Przedewszystkiēm, muszē ci wyjaśnić cały rozkład dzieła. Część 1sza. Przypadki pułkownika, jeszcze za czasów jego kawalerstwa. Część 2ga. Jego ożenie. Część 3cia. To co się działo po ożenieniu.

L E O N.

Pan pułkownik jesteś żonaty?

G U S T A W.

Tak jest... umyślnie dla mojego dzieła, potrzeba było bowiem rozwiązania... i zobaczysz mój wybór... kobieta pełna wdzięków, która mię szalenie kocha... którą porwałem prawie... zobaczysz to później... w drugiej części... Teraz nie ma o niej mowy. Rozdział 1szy o pso- tach pułkownika i jego pierwszych miłost- kach...

L E O N.

Pewno o jego pierwszej miłostce, mniemam bowiem, żeś od jednej zaczął pułkowniku.

G U S T A W.

Ale gdzie tam, od sześciu zacząłem... Tak, tak, mój bracie, od sześciu.

L E O N.

Ah! mój Boże, sześć! a ja przed jedną drżałem jak listek.

G U S T A W.

Rozdział 2gi, jakim sposobem pułkownik uwalnia się od swoich współzalotników.

L E O N.

Aha! otóż mamy... pojedynki!..

G U S T A W.

Ale gdzie tam... nie zawsze się chce stawać z bronią w rękę... A prócz tego znajdowali się czasami współzalotnicy prawni... mężowie na przykład!

L E O N.

Jakto i mężowie?..

G U S T A W.

Ale tak... Rozdział 3ci, słodkie bileciki i oświadczenia. Rozdział 4ty i ostatni, o sposobie nacierania na rozwiązanie.

L E O N.

Rozdział 4ty, ten pewno strachem uczniów przerazi, i nim się do niego przystąpi, trzeba wprzód umieć poprzednie.

G U S T A W.

Może dawniej tak było, lecz dziś nie jeden tkliwy kochanek, od tego miłość zaczyna. *(słychać dzwonienie)* Czas kolacji.

L E O N.

Muiéjsza o nią, dalej panie pułkowniku... o rozdziale 4tym mówiliśmy... ja nie głodny wcale.

G U S T A W.

Tyś nie głodny, ale ja!.. Porządek i pilność przedewszystkiem... i miałbym sobie za grzech oddawać się wtenczas pracy, gdy na kolację dzwonią. *(drzwi w głębi otwierają się)* Wolno ci pójść razem ze mną... jeżeli nie większej doznasz przyjemności, przy piękném świetle księżyca, przejść się po moim zwierzyńcu i moich ogrodach.

L E O N.

Jakto, pułkowniku, masz ogród?..

G U S T A W.

Tak jest, teras, gdzie mi wolno używać świeżego powietrza... przestrzeń mająca dziesięć stóp kwadratowych.

LEON. *(idąc na lewo)*

Z téj strony.

G U S T A W.

Nie, tu są inne mieszkania, nam podobnych, przytykające do izby naszego dozorca. Tędy, przez kręcone schody, zejdziesz do tego przepysznego ogrodu.

L E O N.

Pójdę tam rozmyślać... ale pułkowniku, nie będziesz długo bawił, żebyśmy jak najprędzej widzieć się mogli ze sobą.

G U S T A W.

Bądź spokojny... za jedną drogą szampana zamówię. (*otwierając drzwi na prawo*) Otóż tędy się idzie... zejdziesz kilka schodów, tu, tu, ostrożnie!

S C E N A III.

GUSTAW. (*sam*)

Kontent jestem z mojego ucznia... ładny chłopiec, zaszczyt mi przyniesie, a przynajmniej dopomoże weselej dzisiejszy wieczór spędzić. Będę pił za jego zdrowie, i przyszłe szczęście u kobiet.

SPIEW, Nro 2.

Wesołości ukochana,

Przybądź, już rzucam te strony;

Tom XIV. <http://rcin.org.pl> 10.

Żegnając, pełną szampana,
Najlepsze, kto uwięziony.
Wino lube, twój mus lekki,
W kozie wesołość dodaje,
I gdy zawierasz powieki,
Szczęścia drogi obraz staje.

SCENA IV.

EMILJA. (*wchodzi skrytemi drzwiami, i mówi
za scenę*)

Proszę cię, zostań tu Anno, mój mąż zaraz-
by nas poznał, i przyjemne zdziwienie speł-
złoby na niezem; w tym pokoju, połóż moje
papiery i gitarę. (*sama*) Oh ten Gustaw!.. lecz
i ja także równie śłocho postępuję. Muszę go
przekonać, że godną jestem być żoną pułko-
wnika!.. Gdybym się była prędyj dowiedzia-
ła, byłabym przybyła podzielać z nim jego
smutne położenie, ale nie pisać do mnie...
przez ośm dni ani jednego listu!.. Pewny był,
że się nie dowiem... ja tymczasem biorę po-
cztę... przyjeżdżam... pytam się o niego, i śli-
cznych się dowiaduję rzeczy... W areszcie od

ośmiu dni... to jego pokój... ale to okrucieństwo, osadzać w kozie najprzyjemniejszego i najwaleczniejszego człowieka z całego pułku, a co większa, człowieka żonatego, i jeszcze na ośm dni!.. Gdybym była Gustawem, porzuciłabym służbę, aby nadal nie odstępować swojej żony, a jeszcze na ośm dni! (słuchając) Ah mój Boże! myślałam że to on... nie... nikt... Anno, (w kulisie) zanieś te pieniądze pani Słodkoszowej... Ta dobra Małgorzata, moja piastunka! byłam tego pewną, że mi poda sposobność zdziwienia niespodzianie mojego męża; te drzwi, do których sama tylko klucz posiadam, przedziwnie... sądzi że jestem daleko od niego... a ja, gdy wszystko ucichnie, otwieram drzwi, i jak dobroczynne widmo, litujące się nad jego samotnością, będę go pocieszała w jego smutku. Ale zapomniałam o tym oknie... możeby mi mogło posłużyć. (zbliża się) Daje widok na teras... Ah jak tu posępnie, ktoś tam stoi... oficer... gdyby to on był, nie... Gustaw jest przystojniejszy... ale... jak się we mnie wpatruje... jakiś porucznik!

SPIEW, NRO 3.

Zuchwałość nie do pojęcia!
Zbliża się ku mnie widocznie,
Daje znaki, cóż on pocznie,
Jakież jego przedsięwzięcia?
Wyznam, to rzecz dla mnie nowa,
Dla mnie, żony pułkownika,
Skrytości od porucznika,
A gdzież karność jest wojskowa?!
(*odchodzi*)

SCENA V.

LEON. (*wbiega zadyszany, zatrzymuje się i patrzy na wszystkie strony*)

Tu była... widziałem ją... oh tak... to ona była... poznałem ją dokładnie... lecz gdzież jest?.. Któż ją mógł tu wprowadzić... jakiż powód jej tu pobytu?.. gdyby to... oh nie! na honor, głowę bym stracił. (*słychać akorda gitary*) Co słyszę!

SCENA VI.

GUSTAW, LEON. (*niosąc w jednej ręce świecę, a w drugiej butelkę szampana*)

GUSTAW. (*niiby kłaniając się innym więźniom*)

Dobra noc, dobra noc... tylko w więzieniu można pić dobrego szampana.

L E O N.

Ah to pan, pułkownika.

G U S T A W.

Tak jest, dla ciebie tylko zatrzymałem się na drugiej butelce, ale trzecią ze sobą przynoszę.

L E O N.

Cyt! cicho!

G U S T A W.

Albo co?

L E O N.

Wyobraź sobie pułkownika... kobieta!

G U S T A W.!

Kobieta!.. a czegoż drżysz; fe, to nie po żołniersku, śmiało przeciw nieprzyjacielowi.

L E O N.

Widziałem ją.

G U S T A W.

Gdzie?

L E O N.

Tu... w tej izbie... tę, którą kocham.

G U S T A W.

Eh! żartujesz... być nie może... ty ich wszędzie widzisz. (*znowu słyhać gitarę*)

L E O N.

Słuchaj, co za szczególne zdarzenie. (*n. s.*)
pewnie dla mnie tu przybywa.

GUSTAW. (*n. s.*)

Widzę nabiera śmiałości, w tej chwili zaczynam żałować mojej nauki. (*głośno*) Ale zkadże pewność?..

L E O N.

Pułkownik mniema że nie dla mnie?..

G U S T A W.

Mam moene powody do tego...jednakże wątpliwi probujemy oba, a najzręczniejszy...

L E O N.

Najzręczniejszy... najzręczniejszy... to nie wspaniale... chcesz więc, abym ja zaczął?

G U S T A W.

Takie spotkanie więcej cię nauczy, niżeli wszystkie traktaty naukowe... Teorja jest bardzo dobra... lecz nie jak praktyka... zobaczysz.

L E O N.

Dobrze, ale pułkownik powinieneś mi dozwolić samemu probować, bo mając żonę...

G U S T A W.

Kolego, żona, to są uwagi w teorji... ale w praktyce nie mówi się o tém... dalej bacność! Każdy dla siebie... pole otwarte.

LEON.

„Ah mój Boże! pułkownik, jeszcze słowo...
cóż mi radzisz czynić?”

GUSTAW.

Tam do kata...jeżeli ci powiem, jakąż bę-
dzie zasługa!

LEON.

Ja bo nie chcę...tylko...od czego zacząć?..

GUSTAW.

Sądzę że naprzód, trzeba dopomnieć się o
miejsce spotkania, zobaczysz to w rozdziale
3cim.

LEON.

W rozdziale 3cim słodkie bileciki i oświad-
czenia.

GUSTAW. (*siadając*)

Mam już w głowie cały mój plan.

LEON. (*siada przy stole*)

Dalej do dzieła. (*pisze*)

»Piękna nieznajoma! twoje słodkie wejrze-
nie, zajęło mię całego, dusza moja wzru-
szona drży z obawy i miłości.

GUSTAW.

Na nic się nie zdało. Z kobietami trzeba su-

rowo. (*pisząc*) »Okrutna piękności, serce ze skały, którego nie wzrusza miłość moja...

LEON. (*j. w.*)

»Choć bez nadziei, z jednąż miłością i równie stale kochać cię będę.

GUSTAW. (*j. w.*)

»Spojrzyj na tkliwe serce, ogniem dla cię »palające, i które nie ma czasu oczekiwać.

LEON. (*j. w.*)

»Niech między nami dwoma, serce twoje »wyda wyrok, niech ujrzę w twych oczach od- »powiedź.

GUSTAW. (*j. w.*)

»I bez obawy prędko daj odpowiedź, włóż »ją w moją czapkę.»

LEON. (*n. s.*)

Jestem pewny, że mi nieodmówi.

GUSTAW. (*n. s.*)

Jak tylko mój list przeczyta, ręczę, że ją zobaczę.

LEON. (*złożywszy list*)

Ale teraz jak go oddać...gdybym mógł przeproczyć dozorcę i przez niego przesłać...

GUSLAW. (*składając list*)

Muszę się jednakże starać go doręczyć.

LEON. (*n. s.*)

Najgorsza, że mię na krok nieodstępuje...
gdyby poszedł!

GUSTAW. (*wstając*)

No, mój młody kolego, nie idziesz spać?
przecież w pułku zwykle dosyć wczesnie...

LEON.

Prawda, a ty pułkowniku?

GUSTAW.

Oh ja nie: ja jeszcze spać nie pójdę. (*siada
wkrześle przy stole*)

LEON.

Ani ja. (*siada po drugiej stronie*)

GUSTAW.

Ale może ty nie chcąc być niegrzecznym,
spać nie idziesz, nie obawiaj się natręctwa,
moje łóżko obozowe...

LEON.

Nie...nie...dziękuję ci...zaczekam na ciebie.

GUSTAW.

Uważam, że jesteś obserwatorem wojennym
(*n. s.*) nieodchodzi: gdybym go mógł uspić,
opowiadaniem moich potyczek w Niemczech,
to mi się często udawało.

LEON. (n. s.)

Dobra myśl...gdy się położy, szampan wkrótce mu oczy zamknie...a jak zaśnie...*(głośno, wstaje)* Na honor, mój dowódzco napróżno upatruję...nieprzyjaciela nie widać, i mniemam że dziś ze spotkania nic nie będzie.

G U S T A W.

I mnie się tak zdaje, najlepiej będzie zatrąbić do odwrotu, i odłożyć atak do jutra.

L E O N.

A więc zawieszenie broni.

G U S T A W.

Zawieszenie broni, i idźmy spać. *(spostrzegając światło w oknie po lewej)* Światło! *(ni-by słucha przy oknie na prawo)* Słyszysz!

L E O N.

Cóż tam?

G U S T A W.

Ciszej, jakiś głos miły! czy słyszysz? dźwięk gitary.

G U S T A W.

Gitary!..*(biegnie do okna na prawo, Gustaw tym czasem wyrzuca bilet przez okno po lewej)* Co znów, urojenie!..nic nie słyszę.

G U S T A W.

Czy doprawdy, nic nie słyszałeś?

LEON. (*wracając*)

Ale nie na honor.

G U S T A W.

I nic nie widziałeś?

L E O N.

Nie.

P U S T A W.

Więc idźmy spać.

L E O N.

Idźmy, wojna odłożona do jutra. (*wychodzą
drzwiami po lewej*)

S C E N A VII.

EMILJA. (*sama, otwiera drzwi nagle, trzymając list Gustawa*)

Już go niema, szczęście, pewniebym się zdradziła!..byłoby okropne spotkanie...Tak, tak jego pismo..co za list!..On którego miałam za najwierniejszego, a tymczasem...bo nie wie, że jego żona jest tak blisko, że do niej pisze, i od kobiety nieznanomój, której nigdy nie widział...Pięknie...mąż który prosi o rendez-vous innej kobiety, nie swojej żony; ah zgroza! A więc rendez-vous, zezwolę...przyjdę...zobaczymy...(zastanawiając się) Ale jeżeli tylko chciał

zażartować, gdyby nie przyszedł!..rozniewałabym się, bo zostałabym w wątpliwości...Przyjdę...a potem będąc jego żoną...nie widzę w tém nic złego. Oto moja odpowiedź...*(odczytując list Gustawa)* „pod moją czapką, na prawo.“ Ah, jego czapka!..ja sama ją baftowałam, i nigdy mi przez myśl nie przeszło ażeby miała kiedy służyć...słyszę go, uciekajmy. *(odchodzi drzwiami skrytymi na lewo)*

SCENA VIII.

LEON. *(sam)*

SPIEW NRO 4.

Spi, a więc rostopnie,
By się nie przebudził,
Milczeniem się dopnie
Przedmiot, co mię łudził.
Choć kocha jęj powie,
Ona nie uwierzy,
Kto miłość ma w głowie,
Ten czuwa, nie leży.
A on na kanapie,
Wjak najlepsze chrapie,
A zatém bez trwogi,
Spieszmy, bo czas drogi.

Z początku zdawał się udawać śpiącego, ale wkrótce zasnął porządnie. (*spoglądając na okno, w którym jest światło*) Gdybym zawołał... pułkownik się obudzi... ah wlaższy na krzesło, będę ją mógł widzieć, mówić z nią... Pułkownik prawdę powiedział, zaczynam już korzystać z jego nauki... (*zdejmuje czapkę z krzesła, spostrzega bilet Emilji*) Co widzę?.. list pod czapką pułkownika! nie zapieczętowany... czytajmy!.. »Pułkowniku, niepodobna było o-
 »przec się twojemu ~~star~~ującemu stylowi, te-
 »go wieczora o północy czekaj na mnie w wiel-
 kiej sali.« Zimny pot mię oblewa... więc jego kocha!.. a ja wzgardzony! ja, który ją ubóstwiałem prawie, gdy tymczasem on tylko...
 Dobra nauka! ale cierpliwości... mam dopiero lat 18... dojdę i ja do tego, a przysięgam że żadnej oszczędzać nie będę... Zażądał *rendez vous*, i otrzymał natychmiast, możnaż być szczęśliwszym!.. A ja... jak dudek... nie... ale jakim sposobem... przez jakąż moc?.. nie widział jej, przecię się z miejsca nie ruszyłem; i w jednym

kwadransie, oddał list, odebrał odpowiedź, otrzymał *rendez vous*... Ah wyznaję teraz, że godzien być moim nauczycielem, i że nie będę mógł nigdy z nim się mierzyć. Dla czegożby nie?.. wspominał o podstępach wojennych: tak; może tym sposobem zdołam dokonać mojego zamysłu... (*rozdziera bilet, idzie do stołu, pisze inny i kładzie go pod czapkę*)
Ja stawię się za niego na umowioném *rendez vous*, tym wybiegiem... bravo, dobry początek...

GUSTAW. (*za sceną*)

Hej kolego!

L E O N.

Ah to on!..

S C E N A IX.

LEON, GUSTAW.

GUSTAW. (*przecierając sobie oczy*)

Wybornie, ja chciałem jego uśpić; mniemam, że mi się udało, a tymczasem zasnąłem sam wtenczas, kiedy nieprzyjaciel ani myśli o spaniu... Powiedz mi mój kolego, czyś ty lunatyk?

L E O N.

Nie, ale przykrzyło mi się tak długo w jed-
nym miejscu.

G U S T A W.

Aha, rozumiem, dobrze już zaczynasz Le-
onie...

SPIEW, NRO 5.

Ze piękność jest blisko niego,
Biedak ciągle niespokojny,
Zaraz to poznać takiego,
Który nie przywykł do wojny.
Troska snu mu nie udziela,
Gdy weteran, lub żonaty,
Od dawna już zwykł za katy,
Spać obok nieprzyjaciela.

L E O N.

Nie myślę już nawet o tym; mażli uczeń
mierzyć się z swoim nauczycielem!.. Ale mój
pułkownik, kiedy spałeś tak dobrze, cóż cię
tu sprowadziło?

G U S T A W.

Bo, widzisz... zapomniałem mojej czapki ..
a ja nie mogę spać bez czapki.

L E O N. (n. s.)

Do stu katów!.. sprawdził się mój domysł.

G U S T A W.

Hm?.. zdaje mi się, że klniesz.

L E O N.

Ja zaś!!.

G U S T A W.

To dobrze, dobrze, już się ukstałas; by-
łem pewny, że można będzie zrobić coś z cie-
bie. (*biorąc czapkę, n. s.*) Mam odpowiedź.
(*głośno*) Jeszcze jedną tylko dam ci nauczkę
do dzisiejszej podobną, a znacznie postąpisz.

L E O N. (*złościwie*)

O tak, tak, zdaje mi się, że już zaczynam
postępować.

G U S T A W. (*Gustaw zbliżył się do stołu, odwró-
cił się od Leona i czyta bilet*)

„O północy, na terasie.“ (*n. s.*) Przedzi-
wnie, ale któredyż ona przyjdzie? Pewno są
jakie skryte schody, przynajmniej miłość je
wynajdzie. (*głośno*) Tak kolego, (*kładąc czapkę
na głowę*) teraz kiedy mam to, co mi potrze-
ba, wracam do spoczynku, co się zaś ciebie
tycze... sądzę, że ci tu dobrze będzie.

L E O N.

Zapewne, ja śpię niespokojnie, mógłbym
ci przeszkadzać.

G U S T A W.

I ja, chrapnę czasami potężnie!

L E O N.

A tak jeden drugiemu by przeszkadzał, lepiej więc, że każdy z nas gdzieindziej spać będzie. (*siada w krześle*)

G U S T A W.

Czy ci wygodnie?

L E O N.

Już śpię.

G U S T A W.

Ale pamiętaj mój uczniu, jeżeli byś miał jakie przykry sen, żebyś mnie nie budził.

L E O N.

Możesz być pewnym pułkowniku, że nie zmieszam twojego spoczynku.

G U S T A W.

A więc dobra noc!

L E O N.

Dobra noc!

GUSTAW. (*wychodząc, bierze z sobą świecę, n. s.*)

Dalej na teras. (*wyszedłszy, drzwi na klucz zamyka*)

SCENA VI.

LEON. (*sam*)

Zostawia mnie bez świecy... nawet drzwi na

klucz zamyka!.. nie nie szkodzi; pole bitwy do mnie należy. Jeszcze nie mogę wyjść z podziwienia, że go potrafił oszukać, trudne odniosłem zwycięstwo; on będzie na terasie oczekiwał, a ona tu przyjdzie!.. Przyjdzie... oh, tak się obawiam!.. nigdy mi serce tak gwałtownie nie biło... cóż jej powiem?.. Jak usprawiedliwię podobną śmiałość?.. Jeżeli się rozgniewa.. Boże!.. na cóż podchwyciłem to *rendez vous*?.. Zawołam pułkownika i wszystko mu wyjawię... lecz nie dawno nazwał mnie swoim uczniem, śmiałby się z mojej słabości... (*starając się nabrać odwagi*) Dalej, odważnie... zdaje mi się, że słyszę szelest... nie... jeszcze nie ona... ah, rzecz straszna znajdować się tak z kobietą sam na sam, po pierwszy raz w życiu... ah! dałby Bóg, żeby nie przyszła!.. drzwi się otwierają... stało się... zginąłem!

SCENA XI.

EMILJA, LEON.

EMILJA. (*n. s.*)

Boże! jak serce moje drży z bojaźni.

LEON. (*n. s.*)

Nie śmiem i kroku postąpić, ucieknę... ale
pulkownik będzie szydził ze mnie.

EMILJA.

Ciemność mi sprzyja, i gdybym mogła zmienić
głos, nie poznałby mię zapewne. Czy je-
steś tu...

LEON. (*z trwogą*)

Jestem...czekałem na ciebie.

EMILJA. (*n. s.*)

Jak wzruszony...tém lepiej...znać że myśli
o mnie, że go dręczy sumienie... (*głośno*) Zle
czynię dopelniając twojej prośby, bo pewną
jestem, że mię zwodzisz.

LEON. (*n. s. strwożony*)

Ah mój Boże!..domyśla się czegoś... (*głośno*)
Nie pani...ja cię nie zwodzę.

EMILJA. (*n. s.*)

! on także głos odmienia, ale moje serce
poznało go od razu. (*głośno*) Jestem więc...
cóż mi chciałeś powiedzieć?

LEON.

Ja...powiedzieć?...czy nie domyślasz się pani!
gdyby się domyśliła jużbym nie nie mówił.

E M I L J A.

Nie...chcę żebyś mię sam uwiadomił...wahasz się...(biorąc go za rękę) to sprawiedliwie.

L E O N.

Sądysz że to sprawiedliwie, śliczna rączka.. zdaje mi się, że już mniej czuję trwogi...oh jak pulchna!..co to jest kobieta!..

EMILJA. (n. s.)

Nie śmie mówić...jego ręka drży... bylam pewną, że mnie zdradzić nie może...zobaczmy jeszcze...(głośno) I cóż mój przyjacielu?..

L E O N.

Mój przyjacielu!..O jak to imię jest słodkiem...nigdy mię tak nie nazywano...(nabierając odwagi) Tak...ta chwila, przypomnijmy naukę pułkownika...(głośno) Ah pani!. Boże!..mnie się zdaje, że cię kocham...ale nie gniewaj się...zaklinam!

E M I L J A.

Kochasz mię!..(wyrzucając rękę) Zdrajca!

SPIEW NRO 6.

Tak to wy zdradzać umiecie,
O mężczyzni wiarołomni,

Przy pięknej obcej kobiecie,

Nie jeden żonę zapomni!

LEON. (*biorąc jej rękę*)

Nie usuwaj pulchnej dłoni,

Niech twój wzrok mego nie stroni.

(*Emilia zwraca się*)

Oh! już blizkie jest zwycięstwo,

Pułkownik pochwali mężtwo.

Serce bije mi z radości,

Z nadziei i trwogi;

Paui na zakład stałości,

Daj ten pierścień drogi.

(*n. s.*)

Moich życzeń nie oddała,

Nic nie mówi...więc zezwała.

(*zdyął jej pierścionek*)

Ah! już blizkie jest zwycięstwo,

Pułkownik, pochwali mężtwo.

(*całuje Emilię w rękę i mówi n. s.*)

Dałej...pokażmy się godnymi nauczyciela...
do rozdziału 4go. (*słychać otwierający się
zamek we drzwiach po lewej*)

EMILJA. (*uciekając drzwiami, skrytymi*)
Któs nadchodzi. Uciekajmy.

SCENA XII.

LEON, (później) GUSTAW.

LEON.

Ah! do pioruna, że odeszła...już teraz tyle
nabrałem odwagi,—że byłbym otrzymał zu-
pełne zadowolenie pułkownika...

GUSTAW. (*przeziębnięty cały*)

Uf, uf!...przeziębłem cały...stać godzinę na
warcie, podczas takiego przekłętego wiatru...i
dopiero ani żywej duszy nie widziałem! A
niech ją pioruny...

LEON.

·Cóż ci to pułkownika...czyś lunatyk?

GUSTAW. (*stawiając świece*)

Co?

LEON.

Tak długo chodziłeś po tarasie, byłem nie-
spokojnym, szczęście że wzięłeś czapkę...

GUSTAW. (*zaziwiony, uważając go bacznie*)

Cóż on przez to rozumie, ten młodzik mi-
łośnego nowicjatu? nie widać po nim, żeby
spać.

L E O N.

Pulkowniku...jeźlibyś chciał na krześle...
(z znaczeniem) bo ja mając to co mi potrze-
ba, wracam do spoczynku.

GUSTAW. (zatrzymując go)

Chwilą tylko kolego...widzę że odgadłeś
moją przygodę, wyznam ci nie jestem bynaj-
mniej dumny: Wyobraź sobie, godzinę pra-
wie czekałem, nie dotrzymała słowa. Nie wiem
co się to ma znaczyć.

L E O N.

Jako pulkowniku, nie nie widziałeś?ale mógł-
byś stać i całe i noc byłbyś jej nie zobaczył.
(zminą zwycięzcy) Kiedy czekałeś na tera-
sie ona tutaj była?

G U S T A W.

Czy tak?

LEON. (usmiechając się)

Powiedz że mi mój neuczycielu, czy do-
syć korzystałem z twojej nauki?

GUSTAW. (z zadowoleniem)

Otóż moi uczniowie, dobrze, bardzo dobrze.
Ale, czy nie popełniłeś jakiego głupstwa?

L E O N.

Słowo w słowo, szedłem za nauką pierwszych twoich rozdziałów.

G U S T A W.

A ostatni?..

L E O N.

Od niego zacząłem. (*pokuszając pierścioneł*)
I oto zdobycz mojej pilności w uauce.

G U S T A W.

Taki otrzymałeś podarek?

L E O N.

Tylko taki..

GUSTAW. (*przypatrując się pierścionkowi*)

Ale mój przyjacielu...to mężatka...

LEON. (*rozgniewany*)

Eh! dajże pokój...gdzie zaś...

G U S T A W.

No, nie ma nic w tém złego...przecież...(n. s.) zobaczę imiona małżonków, znowu jeden biedny mąż...{*przerażony*} ah mój Boże.

L E O N.

Cóż takiego?

GUSTAW. (*zmieszany*)

Nic...nic...słabo mi...

LEON. (*dobrywając flakonik*)

Może chcesz powąchać mój flakonik?

G U S T A W.

Daj mi pokój...tylko też tego niedostawało...

L E O N.

Ah mój Boże!..to już dzień!

G U S T A W.

A więc bądź tak dobrym, i zejdź do Intendenta, żeby nam wydał pozwolenie opuścić to przeklęte miejsce.

L E O N.

Co mówisz pułkowniku?.. ja gdybym wiedział, że nocie tu przepędzane równie przyjemnie przejdą jak dzisiejsza, bez szemrania, całe życie chciałbym tu pozostać.

GUSTAW. (*n. s.*)

Co raz lepiej!.. (*głośno*) idźże, idź...

L E O N.

Idę pułkowniku... ale pierścionek?..

G U S T A W.

Oddam ci go za powrotem.

(*Leon wychodzi*)

SCENA XIII.

GUSTAW. (*sam*)

Ah to nadto!.. zobaczymy jeszcze raz... Emi-
ja... Gustaw... Nasz pierścień ślubny... i tylko

mojej żony własnością być może; gdybym nie był pewny, że ona jest w mieście... byłoby nad czém pomyśleć... tu .. sam na sam... (*słyszysz otwierające się drzwi*) Jakiś szelest... drzwi się otwierają. (*Emilja się ukazuje*) Dla Boga! moja żona! oh nie ma wątpliwości!.. biedna moja głowa!..

SCENA XIV.

EMILJA, GUSTAW.

EMILJA. (*biegnie z radością do Gustawa, a widząc jego obojętność, zatrzymuje się*)

Takież to przyjęcie mój mężu, kiedy przybywam, aby cię uwolnić.

GUSTAW. (*ostupiały*)

Nie... nie... moja... żono... Czy w tej chwili przybyłaś?..

EMILJA. (*biorąc go za rękę*)

Co znaczy to pytanie?

GUSTAW. (*patrząc na jej rękę*)

Ale bo... Emiljo! gdzie jest twój pierścienek ślubny?

EMILJA.

Do ciebież należy pytać się o to?

G U S T A W.

Jako mościa pani... a dokogóždy, jeżeli nie do mnie?

EMILJA. (*tkliwie*)

Niewdzięczny!.. ponieważ ja go nie mam, wiesz że tylko jedna osoba w świecie mieć go może... (*postrzegając pierścionek na palcu Gustawa*) Mężu; oto jest!

G U S T A W.

Jakto pani... a więc... to ty... tej nocy...

E M I L J A.

Wątpisz jeszcze... tak, przybyłam tu wczoraj w wieczór, przekonana, że serce twoje Emilją tylko zajęte.

G U S T A W.

Aha, teraz zgaduję wszystko!.. oddycham. (*n. s.*) Ten hultaj, który nie domyślając się... biedny, zawsze pod nieszczęśliwą gwiazdą.

EMILJA. (*z dobrocią*)

Nie smuć się mój przyjacielu, nie będę ci; czyniła wyrzutów, twoje położenie zasługuje na pobłażanie.

G U S T A W.

O! zbyt wiele dobroci; ale ja nigdy tego nie przebaczę. Słuchaj Emiljo, błagam cię

tylko o jedną łaskę, która karą moją będzie:
powtórz mi jak najdokładniej to, co ci po-
wiedziałem téj nocy:

EMILJA. (*spuszczając oczy*)

Powtórzyć ci!.. kiedy pragnęłabym zapo-
mnieć?

GUSTAW. (*n. s.*)

Ah mój Boże! zginąłem. (*głośno*) Przypom-
inam sobie, żeś powstała na mnie z gniewem.

E M I L J A.

Nie... mój przyjacielu, chociaż zasługiwałeś
na to.

GUSTAW. (*rzuca się do nóg Emilji*)

Droga Emiljo!.. przebaczasz mi?..

SCENA XV I OSTATNIA.

CIŻ I LEON.

L E O N.

Pułkowniku, jeżeli chcesz jechać... a to co...
co czynisz?..

E M I L J A.

Oficer!

GUSTAW. (*spokojnie*)

Kochany Leonie, przedstawiam ci moją żonę.

LEON. (zawstydzony)

'Twoją żonę!.. (cicho) Ah pułkowniku, gdy-
bym ja był wiedział..

GUSTAW. (wstaje i ściskając go za rękę)

Dosyć... dosyć... (głośno) Droga Emiljo,
przedstawiam ci mojego towarzysza niedoli,
młodego porucznika, którego widziałaś kilka-
krotnie przed naszym połączeniem.

EMILJA. (kłaniając się)

Tak, zdaje mi się, że na balu.

GUSTAW. (n. s.)

Pamięta o tem... (głośno) Jest to młody czło-
wiek, wiele obiecujący.. mój uczeń.

LEON. (z trwogą)

Który starać się będzie przynieść ci za-
szczyt.

GUSTAW. (n. s.)

Przynieść mi zaszczyt... nie źle zaczął ten
zaszczyt.

EMILJA. (do Leona)

Mam nadzieję, że pan nie zapomni pułko-
wnika, jeżeli kiedy znajdować się będzie w sto-
licy...

GUSTAW. (*przerywając*)

Tak...tak... będę się starał o jego awans...
w jakim garnizonie stojącym na granicy kró-
lestwa...

LEON. (*wzdychając*)

Na granicy..za daleko!..*(pół głosem do Gu-
stawa)* Pułkowniku dziękuję za lekcję..jest
ona nie wynagrodzoną...

G U S T A W.

I mnie się tak zdaje...ale dziś dziękuję nie-
bu, żem ci więcej lekcji nie dał.

Zdzieram pamiętniki moje,
Wierście żonaci koledzy,
Niech to żon uniknie wiedzy,
Byśmy nie mieli za swoje.
Honor nasz cierpiałby na tém,
Gdyby żony wzięwszy pliki,
Chciały tak czynić przed światem,
Jak ich uczą pamiętniki.

EMILJA. (*do Publiczności*)

Bojaźń naszą zgadujecie
Łaskawi panowie, panie,

Czy chętnie wydać zechcecie
O tych pamiętnikach zdanie?
Gdy dacie sąd i bez sporów,
Bez grotów ostrej krytyki;
Dla tłumacza i aktorów,
Miłe będą pamiętniki.

K O N I E C .

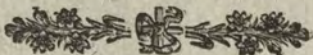
(1867)

Journal of the
Royal Society of
London
Volume 37
Part 1
1867

**ŻONACI
BEZŻENNI.**

**KOMEDJA
WE DWÓCH AKTACH,**

ORYGINALNIE WIERSZEM NAPISANA.



**PRZEDSTAWIONA PIERWSZY RAZ
NA TEATRZE ROZMAITOŚCI
*dnia 24 Czerwca 1833 r.***

O S O B Y.

PAN JAN,	JP. <i>Smiałkowski.</i>
ANIELA,	JPa. <i>Rostkowska.</i>
LUDWIKA, jej służąca,	JPa. <i>Werowska.</i>
GUSTAW,	JP. <i>Jasiński.</i>
JÓZEF, jego służący,	JP. <i>Swiergocki.</i>
KACPER, stary sługa Gustawa,	JP. <i>Panczykowski.</i>
Lokaj.	
Wieśniak.	

(Rzecz dzieje się na wsi)

ŻONACI BEZZĘNNI.

A K T I.

(Scena przedstawia salon wiejski, po obu stronach drzwi, po lewej aktorów prowadzą do sali jadalnej, po prawej do gabinetu Anieli)

S C E N A I.

ANIELA, LUDWIKA.

ANIELA. *(z radością)*

Ah, dzisiaj więc przyjedzie!

L U D W I K A . .

Nie.

A N I E L A .

Nie?

L U D W I K A .

http://rcin.org.pl Nie przyjedzie.

A N I E L A.

Zapewnił, że dziś będzie u nas na obiedzie.

L U D W I K A.

Pani się widzę cieszy.

A N I E L A.

Płakać nie mam chęci.

L U D W I K A.

Serce, jak uroczystość już tę chwilę święci,
Oczekuje powrotu, obawy zwycięża,
Z niecierpliwością czeka na przyszłego męża.

A N I E L A.

Jestże to przewinieniem że go Kocham stale?

L U D W I K A.

A jak on przestał kochać?

A N I E L A.

Nie.

L U D W I K A.

Zkąd pewność?

A N I E L A.

Ale...

Wszak płakał przy rozstaniu.

L U D W I K A.

Czas boleści słodzi;

A potem łza nie zawsze miłości dowodzi.

Prócz tego niech panienka i o tym pamięta:

Podróż trzy letnia...

A N I E L A.

I cóż?

L U D W I K A.

Wszędzie są dziewczęta.

A nowość zawsze wabi, w tym ród ludzki słaby.

A N I E L A.

Pisał, że obojętny na kobiet powaby..

L U D W I K A.

I pani temu wierzysz, masz nawet za cblubę?..

Niebaczna! kwiatem kryją zgotowaną zgubę,

I kiedy przywiązanie z oddaleniem słabnie,

Wtenczas piszą najtkliwiej, łudząc nas powa-

(bnie,

I co z serca ubiegło, chcą nagrodzić listem.

A N I E L A.

Jakto, więc podstęp widzisz w tem uczuciu czy-

(stem?

L U D W I K A.

Rzecz dziwna, aby panna w dziewiętnastym roku,

Przy czarowném obliczu, pełném ognia oku,

Przy rozlicznych talentach, z piękniem wycho-

(waniem,

Wbrew przyjętym zwyczajom, szła odmien-

(niem zdaniem,

Wzór rzadki, przez trzy lata być stałą niezło-

(mnie,

Wierzyć w niepodobieństwo: on wciąż myślał

(o mnie.

Sąd kobiet wydał wyrok, mężczyźni motyle.

Na wsi mniej sposobności, bo panien nie tyle,

Przecież na pięć mil w koło jestże który stały?

Czyż każdy z nich w odmianie swój nie szuka

(chwały!

»Tam jest ładny buziaczek,« ktoś mu szepnie

(z cicha,

»Ale dziesięć mil,« pędzi, zobaczył, już wzdycha.

Już śmiertelnie raniony strzałami amora,

Już go nie razi skwarna ni zimowa pora,

Jeździ wciąż, już zamiary małżeństwa układa,

I zajęty przyszłością sam sobą nie włada.

Dzisiaj chciał się oświadczyć, goście na prze-

(szkodzie,

Gniewa się, niecierpliwi. Przypadkiem w ogró-

(dzie

Sład zgrabniuteczkiej nóżki na piasku postrzega.

»Sliczna nóżka!« zawołał, i w ogród wybiega.

Ciekawością wiedziony, biegnie strzały pędem,
Gdzie lipy chłód przyjemny niecą gęstym rze-
(dem.

Spostrzega kibić zgrabną, rączkę utoczoną,
Już o tamtej zapomniał, tę chciałby mieć żoną.
Uwielbia ją, ubóstwia, omal nie szaleje,
Nią żyje, nią oddycha, w niej wszystkie nadzieje.
Gdy chcąc się lepiej przyjrzeć po za drzewem
(staje,

Ktoś z boku, jego bóstwu ufać dłoń podaje,
Mówiąc: »widziałas zonko altankę w tej stronie?«
Na te słowa, nasz panicz tysiąc przekleństw zionie,
Śmiercią chciałby ukarać wydziercę roskoszy!
Zjawia się pokojówka, srogą boleść płoszy,
I zalotném spojrzeniem z pamięci wybija
Zemstę i oświadczenie. Tak, gdy pora sprzyja,
Mężczyzna, co stałości zdawał się być wzorem,
W pięć minut myśl trzykrotnym zajmował wy-
(borem.

A N I E L A.

Przecież nie całe niebo zasępiają chmury;
Czyż żadnemu nie ufać, że zdradził z nich któ-
(ry?

L U D W I K A

»Raz zwiedziony nie ufaj!« powiada przysto-

(wie.

U nich zdrada i w czynach i w sercu, i w mowie.
Wiele ich tylko znałam, czyli pan czy sługa,
Prawda, gorąco kocha, lecz miłość nie długa.
Nie zaszkodzi starannie doświadczać ich wprzó-
(dy.

A N I E L A.

Wraca wierny przysiędze.

L U D W I K A.

A gdzież są dowody,
Że tak wierny powraca, że nie kochał skrycie?
A może i nie skrycie. Miłość płóche dziecię,
Często się mimowoli zakrada nieznacznie;
Najtrudniejszy początek, lecz jak się raz za-
(cznie...

A N I E L A.

Wszak pisał...

LUDWIKA. (*przerywając*)

Pisać i czuć, rzecz zupełnie różna,
Choć się czasem nie czuje, pisać przecię można.
Bogdyby list był prawdą, powiem rzecz nie nową,
Powinnam być sześć razy Janową, Piotrową.
Usłuchaj pani rady... a nim doba minie...

A N I E L A.

Choć myśli nie podzielałam, co zechcesz uczynię.

L U D W I K A.

Ha, zwyciężyłam przecie! lżej odetchnąć mogę.
Znów jeden przebydź musi cierniem słaną dro-
Zdarzonej chwili kary, na próżno nie traćmy, (gę.
I za troski po ślubie, przed ślubem zapłaćmy.

S C E N A II.

ANIELA, LUDWIKA, JAN.

J A N.

Cóż to moją Anielę zbudziło tak wczesnie?
Niecierpliwość?..

A N I E L A.

Bynajmniej.

J A N.

Miły obraz we śnie

Przerwał cichy spoczynek.

A N I E L A.

Owszem spałam długo.

L U D W I K A.

Tak, sama jestem świadkiem, że wstała przed
Po północy. (drugą

A N I E L A.

Ludwiko!

J A N.

Nie taj się przed nami.

A N I E L A.

Wyznaję, spać nie mogłam, zajęta myślami.
Tłumy ich się cisnęły, a każda przelotem
Cieszyła gdy odbiegnie, trwożyła powrotem.

J A N.

Bezzasadna obawa, przeciwnie, zamezcie
Pięknem łączy ogniwem i rozkosz i szczęście.

A N I E L A.

Ale gdy ślub udreżenie otworzy podwoje?

L U D W I K A.

Gdy mążulko po ślubie ma widoki swoje...

JAN. (*przerywając*)

Lecz dla czegoż najgorszej chwytacie się strony;
Są przecież i mężowie, którzy wielbią żony,
Stali w przysięgach, tkliwi, dobrzy małżonko-
(wie.

L U D W I K A.

Gdzie też to tacy żyją, niech no nam pan powie?
Mąż wierny swojej żonie, to ósmy cud świata.
Dziś się ożeni, jutro, już za inną lata.

J A N.

Ręczę, będziesz szczęśliwą.

L U D W I K A.

Do szczęścia kobiety
Rzadko ma który z mężczyzn pragnione zalety,
Być panią w domu, miło, mieć powozy, stroje.

A N I E L A.

Nie to jednak Ludwiko myśl zajmuje moję.

L U D W I K A.

Oh pani, o tem nadto jestem przekonana,

Kobięta najbogatsza gdy stale kochana;

Lecz jak trudne to szczęście. Bo wyznaj pan, pro-

(szę,

Wszak żona już nie żyje, czy nigdzie, potrosze,

Skrycie, gdy świadek zdala, nie rzucił pan

(oczekiem?

Czy się nie oglądało za drobnutkiem kroczkiem,

Za zasłoniętą twarzą panny lub mężatki?

J A N.

Czasami...

L U D W I K A.

Nie...

J A N.

Przypadkiem.

L U D W I K A

Znamy te przypadki.

J A N.

Spojrzeć nie jest występkiem.

L U D W I K A.

Lecz potem co było?

J A N.

Może się uśmiechnęło...

L U D W I K A.

Potem przybliżyło...

J A N.

Prawda, bywało...

L U D W I K A.

Potem myślał pan starannie,

Jakby skrycie hołd złożyć czepkowi lub pannie.

Gdy wrócił tajemnemi znużony zaloty,

Żona troskliwie pyta: »słabyś?« ah pracy kłopoty!

J A N.

Tam do licha, Ludwika rozprawia jak z ksiąжки,

Lepiej zna serca mężczyzn jak tiule i wstążki.

Ale wreszcie, cóż szkodzi że się mąż uśmiecha,

Że się przynili czasem, że bez myśli wzdycha...

(przewlekłe).

Czasem...

LUDWIKA. (mocno)

To długie czasem, proszę, cóż oznacza?

J A N.

Pragniesz moich s krytości mieć we innie tłuma-

(cza.

LUDWIKA. (do Anieli, naśladując Jana)

Otóż pani to: »czasem,« wszystkich trosk przy-

(czyna,

To: »czasem« nasz niepokój i boleść zaczyna.

J A N.

Myślą szkodzić nie można.

L U D W I K A.

Tak, myśl nie nie szkodzi;

A jednak pan nie powie jakie skutki rodzi.

J A N,

Dajcie mi święty pokój.

L U D W I K A.

Wierzę temu zduszy,

Żona dawno nie żyje, druga głowę suszy.

Chciałam tylko przekonać łatwowierną panię,

Że każdy z mężczyzn jednej ulega naganie;

Że czy stary, czy młody kiedy sprzyja chwila,

Jak oszuścić żoneczkę dlowcip swój wysila.

A ponieważ żonami musiem być koniecznie,

Bo zestarzyć się panną trochę niebezpiecznie;

Przeto pana Gustawa, taka moja rada,

Nim zostanie małżonkiem, doświadczyć wypada.

Doświadczenie najlepiej stan prawdy wyświeca

Bo między złém i gorszém jest przecie różnica.

S C E N A III.

ANIELA, LUDWIKA, JAN, KACPER.

KACPER. (*lubo wieśniak, ubrany prawie po
miejsku*)

Upadam do nóg państwa, sługa uniżony!

ANIELA. (z radością)

Kacper!

K A C P E R.

Tak, wraca Bóg wie z jakiej świata strony.

ANIELA. (niespokojnie)

Pan Gustaw?..

K A C P E R.

! on wraca.

L U D W I K A.

A Józef?

K A C P E R.

Wraz będzie,

On pana nie odstąpi, on przy panu wszędzie.

Pan za drzwiami, Józef za nim, pan spi, Józef chra-
(pie,

Pan się kładzie na łóżku, Józef na kanapie,

Pan poziewa, on także, pan je, on zajada,

Pan chodzi, Józef przy nim, pan mówi on gada,

Pan gani, on przeklina, pan zły, on się wścieka.

L U D W I K A.

Dopełnia powinności wiernego człowieka.

K A C P E R.

Eh, eh, gdzie tam! wierności jednak mu nie
(przeczę;

Powiedz Ludwika raczej, gdy się pieczeń piecze

I on umie swój garneczek do ognia przystawić,
Umie się wszędzie wtrącić, rozśmieszyć, zabawić;
A Kacper nic. Pan woła: «héj Kacprze!» co
(panie?

»Co panie, cóż więcej?« — Nic «nic?» chce pan
(śniadanie?

»Eh! co slychać?« nic nie wiem »choć cokol-
(wiek przecie, «

Dalibóg że nic nie wiem; »zawsze jedno plecie!«

»Idź precz!« pan z góry na mnie, natychmiast
{wychodzę.

Takie to przyjemności w całej miałem drodze.

Bez ustanku mię pytał: »jakże ci się zdaje,

»Kacprze, piękne widoki, te morza, te kraje,

»I miasta i pałace?« Co mi tam do tego

Kiedy człowiek daleko od kąta swojego.

Iniech mię лихо porwie, jeżeli w świecie całym,

Tak miluchną jak moja chałupę widziałem!

Prawda, poszytka zwiśla, słupy się schyliły,

Lecz choć krzywa zagroda swój dom zawsze
(miły.

A N I E L A.

A więc jeździć po świecie już nie myślisz więcej?

K A C P E R.

Niech mię pan Bóg zachowa, tegom najgoręcej
Pragnął, by do dom wrócić, i na chleb pracować.

Bo na co te podróże, po co grosz marnować?

Ot ja, w trzech częściach świata, pan mówił, że

(byłem,

A jak głupim wyjechał, tak głupi wróciłem.

Kiej wiem jak siać tatarkę, jak zbierać pszenicę

Co mi tam po Francyi, Włochach, Ameryce.

Tam żebyś dał dukata nie dostaniesz piwa,

A każdy po djabelsku jakoś się odzywa.

I gdyby nie pan, który chyba jakimś cudem

Uniał się porozumieć z tym przeklętym ludem,

To może byłby Kacper, w innéj części świata,

Z głodu położył głowę, nie uwidział brata.

Boże, gdybyście państwo radość mą widzieli,

Kiedyśmy po trzech latach nasz lud usłyszeli:

Mało serce z radości mi nie wyskoczyło,

Cieszyłem się, plakałem, nie wiem co mi było!

Nie, ja za żadne skarby, za tysiące żadne,

Nie zmienię naszych chałup za miasta paradne!

A N I E L A.

Gdzież tedy jest pan Gustaw?

KACPER. (*przypomniawszy sobie*)

Zyj panienska zdrowa,

Chciej przebaczyć staremu; gdzie też moja
(*głowa!*)

Przyjechałem tu z listem, i trzymam w kieszeni,
Rzecz dziwna, jak to podróż człowieka odmieni.
(*oddaje list*)

L U D W I K A.

Prawda.

ANIELA. (*przeczytawszy*)

Cóż to ma znaczyć? (*zasmucona*)

JAN. (*błorąc list*)

»Nie mogę ci wyrazić, z jaką obawą zbli-
»żam się do tych miejsc, gdzie przed trze-
»ma laty poznałem prawdziwe szczęście; nie
»wiem jak zdołam wyjawić ci to, co honor
»wyjawić nakazuje. Gustaw.«

J A N.

Dość niezrozumiale.

L U D W I K A.

Kacprze, ty nie wiesz czasem?..

K A C P E R.

Nie, nie wiem nic wcale.

L U D W I K A.

Czy pan Gustaw nie zabrał jakiej znajomości?

K A C P E R.

Być może, bardzo często miewaliśmy gości.

L U D W I K A.

Gości? nie o tém mówię, lecz kobietki ładnej
Czy nie zajął się wdziękiem?

K A C P E R.

Ja nie wiem o żadnej.

Lecz Józef, będzie wiedział, on zawsze był z pa-
(nem,

Zawsze jakieś konszachty, jakby równi stanem,
Jakby dwaj przyjaciele, jakby towarzysze...

(z gniewem)

Nawet stoi za panem, kiedy listy pisze.

L U D W I K A.

Pewnie pan Gustaw bywał?..

K A C P E R. (*przerywając*)

Oh bywał!

L U D W I K A.

Z kim przecie?

K A C P E R.

Z Józefem.

L U D W I K A.

Głupiec.

K A C P E R.

Józef.

L U D W I K A.

Czy widziano w świecie?

Takiego niedołęgę?

K A C P E R.

Prawda, nie widziano.

Ale filut...

L U D W I K A.

Kto?

K A C P E R.

Józef,

L U D W I K A.

Tak?

K A C P E R.

Musi wstać rano

Kto go chce wywieść w pole. I ma szczęścia
(dużo.

L U D W I K A.

Do czego?

KACPER. (*niby tajemnie*)

Do... do... dziewcząt, zaloty mu służą.

Gdzieśmy byli, jest miłość.

L U D W I K A.

Miał szczęście! no proszę.

K A C P E R.

Oj latały za nimi!

LUDWIKA. (*do pani*)

Latały... rokosze..

(156)

A N I E Ł A.

A pan?

K A C P E R.

Co?

L U D W I K A.

Czy też?..

K A C P E R.

Latał?

L U D W I K A.

Tak.

KACPER. (*nie chcąc powiedzieć*)

He... tak... czasami...

Każdyby nie pogardził, mówiąc między nami.

L U D W I K A.

Co?

KACPER. (*wskazując na pannę*)

Niby... jużćie gadać...

L U D W I K A.

Czy jaka rzecz zdrożna?

K A C P E R.

Nie.

LUDWIKA I ANIEŁA.

A więc?..

KACPER. (*do Ludwika*)

Toć się łatwo i domyśleć można.

Gdy fertyczna dziewczynka, i Józef niczego...

Wiemy o co rzecz idzie.

L U D W I K A.

No, dosyć już tego!

K A C P E R.

Pan go lubi i słucha, w nim ufałość i rada,

On namawia, podburza:...

A N I E L A.

Szczęście, więc nie zdrada?

Odmiany tej! powodem.

KACPER. (*powierniczo*)

Ja coś uważałem...

Kiedy pan wychodził...

A N I E L A.

Z kim?

K A C P E R.

Z Józefem. Słyszałem

Jak szeptał!...

L U D W I K A.

O czém?

K A C P E R.

Nie wiem, ale że szeptali,

Sto razy mógłbym przysiąc. Bo się umawiali

Wypróbować panienkę; śmiałem się z nich w du-

(szy:

Kto chce dziewczę odgadnąć, napróżno mózg

(suszy.

Filutki! żadna się z nich podejścia nie boi...
(*miarkując się, d. s.*)

Ah zapomniałem, że dwie przed nosem mi stoł.

A N I E L A.

A więc Józef doradził?

K A C P E R.

Tak, on pana psuje.

A N I E L A.

Spokojność odzyskana. Szczerze ci dziękuję.

K A C P E R.

Nie ma za co.. oh Boże, za pocziwe słowo
Człowiekby życie oddał. Bądź panienka zdrową.
Kłaniam się państwu wszystkim. (*odchodzi*)

SCENA IV.

ANIELA, LUDWIKA, JAN.

L U D W I K A.

A co? dręczyć szkoda?

Po trzech latach czekania przyjemna nagroda!
Nie znam mężczyzn, czy nie wiem co to za pa-
(*nicze?*)

A N I E L A.

Od świata oddalona, tęskne chwile liczę,
Myśląc o nim jedynie; on podejść używa.
Nieufność godna kary!

L U D W I K A.

Nieufność straszliwa!

Jeden za drugim w ogień, w piekło chętnie
Ale próżne zabiegi. (wskoczy.)

J A N.

Każdy z nas wyboczy.

A N I E L A.

Jakto bracie; chcesz bronić podejrzeń Gustawa,
Czyliż miał do najmniejszej wątpliwości prawa?

J A N.

Prawda że nie.

L U D W I K A.

My wiemy, panów jedna liga.

J A N.

Bo widzisz...

L U D W I K A.

Nas doświadczać! ah serce się wzdryga!

A N I E L A.

Czyn niegodny!

J A N.

Choć słowo...

L U D W I K A.

Pan ich nie obroni.

Bo cóż bronić gdy dowód jawny jak na dłoni.

J A N.

Jednak twój Józef wierny.

L U D W I K A.

Zdrójca jak i inni.

Oni chcą nas doświadczać! mężczyźni niewinni!

J A N.

Gdy bezsilna obrona; czyćcie więc co chcecie,
Jednak lepiej przebaczyć, gdy karać możecie.
Wspaniałość jest to cnota płci pięknej wła-
(sciwa,
W waszych się sercach dobroć najwdzięczniej
(odzywa.

A N I E L A.

Bracie...

J A N.

Ja z mojej strony na waszko przystanę:
Co szczęśliwą dla ciebie zrządzić może zmianę.
(*odchodzi*)

S C E N A V.

ANIELA, LUDWIKA.

L U D W I K A.

Jak ludzcy gdy w ich sprawie interes się toczy;
Niech o nas idzie każdy, pognębi ochoczy.
»Zdradziła wiarołomna! niechaj krew jej płynie,
»Tylko śmierć godną karą po takiej przewinie!«
Lecz trafi swój na swego...

ANIELA. (*zamysłona*)

Takie brata zdanie.

Gustaw kocha...

LUDWIKA. (*kończąc, z żartem*)

Przebaczmy, jedźmy na spotkanie,
Przyjmijmy ich z radością, i wprost do kościoła.
Wspaniałość, piękna cnota, któż się oprzeć zdo-
Idźmy więc. (ta!

A N I E L A.

Nie, Ludwiko, ukarać należy;
Nieufność raz stłumiona, nie łatwo się szerzy.

L U D W I K A.

Ah znowu panią widzę na zbawiennej drodze,
Idzie tylko o sposób...

A N I E L A.

Pomyśl, ja odchodzę,
Zastaniesz mię na sali. (*odchodzi*)

S C E N A VI.

LUDWIKA. (*sama*)

Myśleć o sposobie

O większej, mniejszej karze; nie, tego nie zrobię.
Wszakże tych karać mamy, co z świata początkiem
Udręczali nas zawsze. Ni szczupłym zakątkiem
Bytu, który za ledwie bytem nazwać można,
W jakim się ogranicza pleć nasza tak trwożne,

Ni licznemi przykłady, ni strażą skromności,
Nie mogłyśmy przełamać ich podejrzliwości.
Zawsze występki jednej, zowią wszystkich szata,
Czy wezmą piękną, brzydką, ubogą, bogatą,
Niewinną czy zalotną, domysłami dręczą,
I wierność naszą z przędzą równają pajęczą.
Ten ród, który różnicy w kobietach nie kładzie
Niech także bez wyjątku ulegnie zagładzie!
Mało się znajdzie naszej nie zasłuźnych kary,
I może w świecie całym zliczem trzy ofiary.

SCENA VII.

LUDWIKA, JÓZEF. (*wchodzi zwolna i z dumą
postępuje naprzód*)

JÓZEF.

Sługa panny Ludwiki!

LUDWIKA. (*tymże samym tonem*)

Do usług nawzajem.

JÓZEF.

W jakimże zdrowiu panią i pannę zastajem?

LUDWIKA.

Mnie jak widzisz, a panią wkrótce pan zobaczy.

JÓZEF. (*n. s.*)

Ona widzę i spojrzeć już nawet nie raczy.

(*po chwili*)

Panno...panno Ludwiko!

L U D W I K A.

Co pan Józef każe?

J Ó Z E F.

Ale...bo to...

L U D W I K A.

Co?

J Ó Z E F.

Hm!

L U D W I K A.

Tak?

JÓZEF. (*n. s.*)

Policzkiem obdarzę.

Odwraca się odemnie!

L U D W I K A.

Pójdę donieść pani

Że powrócili goście tak niespodziewani.

J Ó Z E F.

Jakto niespodziewani? pan napisał przecie,

L U D W I K A.

Pisał?

J Ó Z E F.

Wszak Kacper przyniósł.

LUDWIKA. (*niby przypominając sobie*)

Ah prawda.

J Ó Z E F.

Nie wiecie.

Co zawierał list?

L U D W I K A.

Trudno, kiedy nie czytany.

J Ó Z E F.

Czy tak?

L U D W I K A.

Ah tak.

J Ó Z E F.

Więc pan mój gość niespodziewany?-

Slicznie, pięknych się rzeczy za powrotem do-

(wie.

L U D W I K A.

Proszę, połączmy koniec tej nudnej rozmowie.

J Ó Z E F.

Nudnej! ah niegodziwa! . (*Ludwika śmiejąc się mocno, odchodzi*)

A ja głupiec stoję!

Kto się chce ze mną mienić, oddam miejsce

(moje.

Wszak ja przepowiedziałem skutek tej włóczgi,

Trwale jak banki z mydła kobiece przysięgi!

Ja zaręczam, i głowę pozwolę zdjąć sobie,

Ledwośmy wyjechali koniec był żalobie;

A gdy nas smutek trapił, dotkliwy, ponury,

Tu chłopcy tuzinami zjeżdżali w konkury.

Ludwika dobra dusza, łagodna, życzliwa,
Gdy kto miłości głosem do niej się odzywa.
A pan jeszcze się wzdragał przyjąć plan zba-
(wienny,
Kiedy go zajmowały Montblanc i Cewenny,
Gdy zachwycony, cuda o naturze prawił,
Tu nie jeden się może naszym kosztem bawił.

SCENA VIII.

JÓZEF, JAN, SŁUŻĄCY.

JAN. (*wchodząc, mówi do służącego*)
Przygotować dla gościa salonik w altanie.
(*służący wychodzi*)

Pewnie pan Gustaw z nami na obiad zostanie?

JÓZEF. (*zdziwiony*)

Nie wiem...

J A N.

Kiedyż przybędzie?

JÓZEF. (*j. w.*)

Mniemam że za chwilę.

J A N.

Upragniony oddawna, przyjmiemy go mile;
Lubo mi nieznajomy...

J Ó Z E F.

Pan go nie zna?

J A N.

Wcale.

J Ó Z E F.

Czy dawno?..

J A N.

Gdy odjechał osiadłem tu stale.

Tak go pragnąłem poznać, i zapewnić mogę,

Żeście ledwo na główną wyjechali drogę,

Gdy przed dwór zajechałem.

JÓZEF. (*n. s.*)

Ha! tego za wiele!

I niech mię piorun trzaśnie jak kaczkę zastrzełę.

J A N.

Co mówisz?

JÓZEF. (*odchodząc*)

Z pańskiej strony dobroci zbyt wiele...

Ze lepiej się utopić niż odbyć wesele.

(*rozgniewany, kłania się i odchodzi*)

JAN. (*sam*)

Jakiś dziwak służący, jeżeli pan podobny,

Pomysł siostry wyborny, czas kary sposobny.

Nie źle zna serca nasze przebiegła Ludwika;
 Gdy mię dziś los Anieli najmocniej przenika,
 Tajemnica żądana niech jej zamiar wspiera,
 I niech, jakiej kto godny, nagrodę odbiera!

KONIEC AKTU PIERWSZEGO.

AKT II.

SCENA I.

JAN, LUDWIKA, (później) GUSTAW.

LUDWIKA. (*wbiegając*)

Widziałam go, widziałam. Pan do gabinetu.

JAN. (*wstając od stolika, na którym pisał*)

Nie nadużycież proszę, dziś prawa odwetu.

(*odchodzi śpiesznie*)

L U D W I K A.

Moja pani się lęka, lecz ja śmiało stanę.

Nie pierwsze to spotkanie, obroty mi znane.

(*Gustaw wchodzi*)

Ah! co widzę! Pan Gustaw.

G U S T A W.

Gustaw, moje życie

Najtkliwszą pewnie radość wznieci me przy-

(*bycie,*

Luba Aniela czuciem niezgasłem przyjęta...

(*uważając pomieszanie Ludwika*)

Lecz cóż znaczy ta trwoga, spuszczone oczęta?..

Wszak dawniej i Ludwika była dla mnie chętną,

Dziś widzę ją ponurą nawet obojętną...

(n. s.)

Czyżby się sprawdzić miały przeczucia bolesne?

L U D W I K A.

Zawsze...ale przybycie...

G U S T A W.

Cóż? może zawczesne.

L U D W I K A.

Nie sądziłyśmy w prawdzie...szybko czas ubiega...

Tak minęło trzy lata że się nie postrzega.

G U S T A W.

Proszę, u was godziny były tylko chwilą?

L U D W I K A.

Tak.

G U S T A W.

Tak?

L U D W I K A.

Nie...dam znać pani.

G U S T A W. (n. s.)

Domysły nie mylą.

(głośno)

Ludwiko z tobą szczerze chcę pomówić pier-

(wój,

Co znaczy to zmieszanie, w odpowiedziach

Powiedz mi....

(przerwy?)

L U D W I K A,
Słucham pana.

GUSTAW. (*n. s.*)

Ale czyż wypada
Badać skrycie służącą? czemu nie, jej zdrada...
(*głośno*)

Powiedz mi lube dziewczę, tyś z szczerości znana:
Czy nie zasła w Anieli uczuciach odmiana?
Czyli przyrzeczeń świętych, ściśle dotrzymała,
Czy kocha, jak mię dawniej, sądziłem, kochała?

L U D W I K A.

Pan wie dobrze, że miłość kryje się przed świa-
(*tem;*)

A ja oświadczam panu, że się nie znam na tém.
Kiedy mi kto otwarcie i szczerze nie powie...

GUSTAW. (*dając jej pieniądze*)

Niechaj to dawną dobroć twoją dziś odnowi.

LUDWKA. (*biorąc pieniądze*)

Wezmę, takimi dary nikt z ludzi nie gardzi.
(*n. s.*)

Ten dátek go winniejszým czyni jeszcze bar-
(*chowa pieniądze*) (dziej.)

G U S T A W.

I coż milczysz?..

L U D W I K A.

Lękam się.

(172)

G U S T A W.

Czego?

L U D W I K A.

Paca gniewu.

G U S T A W.

Gniewu?

L U D W I K A.

Pewnie.

G U S T A W.

Czemuzbym?

L U D W I K A.

Nie chcę krwi przelewu.

G U S T A W.

Blagam cię.

L U D W I K A.

Jam niewinna; ja radziłam stałość,

Bo znając pańskie serce, czułam jaką żalność...

G U S T A W.

Żalność? alboż Aniela!..

L U D W I K A.

Wszystko mu wyjawię.

Nazajutrz po obiedzie była na zabawie,

Tu, o pięć mil w sąsiedztwie...

G U S T A W.

Pięć mil aż jeździła.

L U D W I K A.

Ale też chłopców roje... ślicznie się bawiła.

I jestem tego pewna, bo wkrótce dowody
Sprawdziły domniemania. Pan wie, my co
(wprzód)

Zawsze same i same bezustannie w domu,
Wstępu w nasze ustronie nie dały nikomu;
Odtąd liczne wizyty dobranej młodzieży,
Ten bogaty jak Krezus, ten jak róża świeży,
Ten oczkiem serce rani, ten westchnieniem nęci,
Ten ma kocz najmodniejszy...

G U S T A W.

Nie brak ci paniewi.

Ale dość o zaletach, pytam czyli który...

L U D W I K A.

Nie był zamysłon, smutny, stroskany, ponury?
Oh prawie wszyscy tacy.

G U S T A W.

Lecz czy z gości tłumy?..

L U D W I K A.

Nie zyskał kto miłości okupem rozumu?

(patrzac na Gustawa)

Był jeden...

G U S T A W.

Jeden tylko!.. ah szkoda!

L U D W I K A.

Co? szkoda!

GUSTAW. (z ironją)

Gdy kochanków tysiące, a panna tak młoda,
Na cóż jednym zajmować chciwe zmiany serce?

LUDWIKA. (patrzac na Gustawa)

I w tym nawet znalazia pokoju wydziercę.

Dla niego się wyrzekła towarzystw i świata,

Dla niego w smutku biegły młodości jej lata,

A on gdy się przekonał, że spokój zakłócił,

Odjechał pewny serca i niestałym wrócił.

G U S T A W.

Rozumny jakiś człowiek, dziękuję mu za to.

On z należą odemnie wystąpił zapłatą.

Jeżeli go poznam kiedy, za ten czyn wspaniały

Gdyby zażądał, chętnie byt mój dałbym cały.

Jakże się więc skończyło?..

L U D W I K A.

Tak jak zwykle bywa.

Pierwsza chwila zerwania, okropna, straszliwa;

Lecz gdzie tysiąc wielbiących otacza swe bóstwo,

Za utratę jednego, znajduje się mnóstwo.

G U S T A W.

Nie, nie, tak źle nie sędzę; nie, Ludwika kłamie.

Ten postępek nie płochych lecz podłych dusz

(z namie.

Że o mnie zapomniata , przebaczę jej z duszy,
Ale głosu honoru nie w niej nie przygłuszy.

L U D W I K A.

Któż o honorze mówi, plamić go ośmieli?
Jeden zawsze z licznego grona wielbicieli,
Jak był, tak jest dotychczas...

GUSTAW. (z ironją)

Był i jest!

L U D W I K A.

I będzie.

Lecz jeżeli pan chcesz więcej, coś wiedzieć
(w tym względzie...

G U S T A W.

Wiem aż nadto.

L U D W I K A.

Co? nadto! ha, kiedy tak, sądzę,
Żem już dość powiedziała za wzięte pieniądze.
(kłania się i odchodzi)

S C E N A II.

GUSTAW. (później) ANIELA.

G U S T A W.

Oh Aniello! Aniello, także przysiąg świętość!
I któż zwalczy serc kobiet w niestatku zaciętość?
Nie bez przyczyny duszę dręczyło przecucie,
Gdy nawet stron wiejską ogarnia zepsucie.

Ale dzięki planowi, niegodnej zapomnę,
Wzgardę weźmie w podziale serce wiarołomne!

ANIELA. (*niby zdziwiona*)

Pan Gustaw!

GUSTAW. (*ledwie mogąc mówić*)

Sługa.

A N I E L A.

Sługa!

G U S T A W.

Skutek to bojaźni...

A N I E L A.

Czy pan już zapomniałeś o związkach przyja-
(żni,

Co nas tak ściśle dawniej ze sobą łączyły.

G U S T A W.

Minał czas gdy te związki przyjemnością były.

A N I E L A.

Czy tak?.. prawda, od tych dni, pięć lat nas prze-
(dziela.

Lecz zapomnieć nie łatwo można przyjaciela,

A tembardziej takiego, który rosł z nami,

Dzielił się lat młodzieńczych troską, zabawami;
choć z wszystkiego tylko zostało wspomnienie,

Tę jednakże pamiątkę jak świętość ja cenię.

G U S T A W.

Gdy słońce skryte chmurą, znika powab cienia.
Kiedy serce tracimy, cóż nam po wspomnieniu?

A N I E L A.

Otóż mężczyzn uczucia. U was przeszłość ni-
(czém,

My obecnością smutne, znikłą radość liczem,
I każdą zbiegłą chwilę, przywiodłszy w pamięci,
Choć przeszłej szczęśliwości każda z nas łzę
(święci.

G U S T A W.

Komu lat trzy, lat pięciu zdało się upływem,
Tego wspomnienie, przebac, zda mi się wątpli-
(wem.

A N I E L A.

Co? trzy lata dopiero?..były to trzy wieki;
Nie byłżeś ty Gustawie odemnie daleki.
Ledwieś wioskę opuścił, gdzieś sama została...

G U S T A W.

Tyś wsiadła do powozu, na bal pojechała.
Lecz wyrzuty nie w porę, nie mam do nich
(prawa,

Odtąd jednym z życzliwych nazywaj Gustawa.

A N I E L A.

Ah powiedz mi, cóż w tobie taką zrządza
(zmianę?)

G U S T A W.

Przeniknąłem, że ciebie niewierną zastanę,
I jak człowiek honoru...

A N I E L A. (*przerywając*)

Spiesznie wytłumaczy,
Co niepojęta skrytość w jego liście znaczy?

G U S T A W.

Dla tego przyjechałem.

A N I E L A.

Ah słucham ciekawie.

G U S T A W.

Mój los już ustalony.

A N I E L A.

Fewną byłam prawie.

G U S T A W.

Czy tak?

A N I E L A.

Pomyślnie?

G U S T A W.

Bardzo... za nicbym nie zmienił.

A N I E L A.

Ciesz się więc niewymownie.

G U S T A W.

Jużem się ożenił.

ANIELA. *(po chwili)*

Ah! żegnam i winszuję. *(odchodzi prędko)*

GUSTAW. *(sam, po chwili osłupienia)*

Cóż to jest, o Boże!

Czy szyderstwo, czy rozpacz, któż odgadnąć

(może!

S C E N A III.

GUSTAW, SŁUŻĄCY. *(potém)* JÓZEF.

S Ł U Ż Ą C Y.

Proszę pana do stołu.

G U S T A W.

Ah, jakież cierpienia!

Zerwawszy świętość przysięg, odżywia wspo-

(mnienia.

S Ł U Ż Ą C Y.

Państwo czeka z obiadem.

G U S T A W.

Ta myśl boleść nieci.

S Ł U Ż Ą C Y

Proszę pana do stołu, proszę już raz trzeci.

G U S T A W.

Serce wre gniewem.

S Ł U Ż Ą C Y.

Rosół wystygła na stole.

G U S T A W.

Precz ztąd!

(180)

S Ł U Ź Ą C Y.

Już idę, idę. Nawet odejść wolę...

Bo kto wie...

GUSTAW. *(z rozpaczą)*

Ah!

S Ł U Ź Ą C Y.

Zmykajmy! *(ucieką)*

G U S T A W.

O losie złowrogi,

Dlaczego mię przywiodłeś w domu tego progi!

(z mocą)

Precz z tych miejsc, tutaj wszystko nową boleść

(rodzi;

Obludę, przენiewierstwo na pamięć przywodzi!

Józefie!

JÓZEF. *(smutny)*

Słucham pana!

G U S T A W.

Każ założyć konie.

J Ó Z E F.

Przebacz pan, w ich i mojej że stanę obronie.

Trzeba dać koniom wytchnąć, mnie przetrącić

(trochę.

Bo cóż my zawinili, że kobiety płóche?

Wreszcie wszakże prosili.

G U S T A W.

Nie wiem o tem wcale.

J Ó Z E F.

Pan nie przyjął obiadu? bardzo dobrze... ale
Jeżeli mam prawdę wyrzec: obiad nie zawadzi;
Jak przywiązany sługa, Józef zawsze radzi.
To samo odmówienie, będzie jej rokoszą,
Cierpi, nawet jeść nie chce. Jeść lepiej gdy
(proszą,

Jeść smaczno i pić tego, choć się boleść szerzy,

Niech pan kielichy suszy i zmiata z talerzy.

Prócz tego powóz małej wymaga naprawy;

Niech pan idzie do stołu, wystygną potrawy.

SŁUŻĄCY. *(wchodzi lekliwie i staje przy
drzwiach, głośno)*

Pani czeka z obiadem. *(oddala się prędko)*

J Ó Z E F.

Dalej panie, śmiało.

Nie żałować butelek, a wyjdziemy z ochwałą.

G U S T A W.

I jeszcze się z nią widzieć!.. jakże gniew poskro-
(mie!..

J Ó Z E F.

Gdy pojazd będzie gotów, pana uwiadomię.

G U S T A W.

Idę.. oby mi niebo siły udzieliło!

SCENA IV.

JÓZEF. (później) LUDWIKA.

J Ó Z E F.

Mnie do picia i jadła zawsze sił starczyło.
Choć mam duszę kłopoty ciężkimi zdrczoną,
Gdyby mi tak pieczeni porcję przyniesiono
Zrumienionej, pulchniutkiej, z zawiesistym so-
(sem,
Miluchną jej prezencją mając tuż pod nosem,
Do tego buteleczkę spleśniałą węgryzna
Co z pół wieku zamknięty wyjść się dopomina,
W rozpaczę po kochance, gdy zdradza niego-
(dna,
Zjadłbym pieczeń, butelkę wyścączyłbym do dna.
Wtenczas niech mi się tkliwa stawi dobrodzika...

(Ludwika wchodzi)

Otóż masz, wspomnij diabła... on tuż... jest Lu-
(dwika.

LUDWIKA. (staje, patrzy przez chwilę na
Józefa)

I cóż panie Józefie?

JÓZEF. (d. s.)

Smie stanąć mi w oczy.

LUDWIKA. (*żartując*)

Nie spojrzysz?

JÓZEF. (*traiczenie*)

Nie! lub ta dłoń krew twoją wytoczy!

Jedno moje wejrzenie, jeden ruch mej ręki
A wielbione od głupców grób pochłonie wdzię-
(ki!)

L U D W I K A.

Zkąd ten gniew?

J Ó Z E F.

Co? zkąd ten gniew? i ty pytasz jeszcze!
Bazyliżku! raz tylko z tobą się popieszczę,
Pójdź, niech cię dłoń życzliwie do łona przyci-
(śnie,
A pewno raz ostatni oko życiem błysnie!

LUDWIKA. (*zimno*)

Czy już skończyłeś? milczysz? więc teraz ja za-
(cznę,
Poprzysięgam ci miłość; wypadki dziwaczne,
Czas, troski, z resztą pewnoś żeś zapomniął o
Choć tak kochałeś dawniej... (innie.

JÓZEF. (*z wońją*)

Kochałem ogromnie.

Teraz cię znam ziółeczko z twemi przymiotami,
Gapiem byłem, masz słusność, patrzyłem przez
Gdym serce, miłość złożył... (szpary

L U D W I K A.

Oh tak drogie dary,
Jak jest szpilka bez łebka, lub igła bez ucha,
Zazdrość przez ciebie mówi, mądry jej nie słu-
(odwraca się) (cha.

JÓZEF. (żartując)

Mądry...to nowość dla mnie.

L U D W I K A.

Oh dla twojej głowy
Każda rozsądna czynność, zawsze przedmiot
(nowy.

JÓZEF. (z gniewem)

Co!

L U D W I K A.

Dość już o tém. Powiedz; gdzie twemi przy-
(mioty

Raniłeś serca tkliwe miłosnemi groty?
Gdzież były te tryumfy, gdzie tłumy kochanek
Które się dobijały o ten pusty dzbanek?

J Ó Z E F.

Gdziem tylko nogą stąpił, gdziem wzrok rzucił
(bokiem

Już każda zachwycona postaci urokiem,

(czytajac)

»O mon cher, je te chéris de tout mon coeur
»tu m'es plus cher que tout ce que le monde a
»de plus cher.«

Oj wierzyłem jak tobie że n był jeden *cheri*.

Raz się nas szczęściu zeszło do *belle Valérie*.

Tu Niemeczka z rachubą, *langsam* miłość

(mierzy

Musisz sto razy przysiędz nim ci raz uwierzy.

Ten prezencik dostałem od powolnej Niemki,

Droższy mi nad brylanty urywek tasiemki!

Ale jak ta pokocha *l'êbe* do znudzenia.

Aha. ten tu od Włoszki, ten godny widzenia.

Zazdrosna nie do wiary, chcąc ustrzedz się

(zdrady

Na krok cię nie odstąpi, gonitwemi ślady.

Zda się żyć twojém technieniem, napawać twym

(wzrokiem

Zwróc oczy... wnet cię przekleństw zarzuci po-

(tokiem,

Nawet życiu zagrozi. Już lepsze Hiszpanki

W całym kraju nie znajdziesz stałej Maury-

(tanki!

Choć piszą: » *Carissima* « patrz sama: » *amigo*. «
Jednak ty, tobie równe, zdrad ich nie do-
(ścigaj.

» *Agami el favor de estar oi en el passeio de
a la meda, a los seis de la tarde.* «

» *Tuja verdadera kierida asta la morte.* «

Czujesz ty, ten wdzięk nowy, to. » *Tuja kierida*
Lubo piękny, nie zawierz, bo poznasz co biéda.
Igdy ci z duszą pisze, że: » *asta la morte.*

Piano, klawisz uderza, już nie znajdziesz *forte*.

Ten dobry, tamten lepszy, ten ma zalet wiecéj;
Krótkośmy więc bawili. W inny świat czempre-
Ameryka, raj ziemski! tam żyją istoty (cej
Których stałość, niewinność są zwyczajne cnoty. \

Nie znajdziesz zalotności nawet ani cienia,
Wszystkiel ubior prześliczny, odzież przyro-
(dzenia.

Nic się tam nie ukryje przed badawczem okiem
Zajmie cię ładną nóżką, gładkim ciała tokiem,

Tam włos sama natura uplata w pierścienie,

Nie ma przyprawnych loków ukrytych w grze-
(bienie,

Gorset o stu sprężynach nie nada figury

Masz ją taką jak wyszła z rąk twórczej natury.

Gdy ci miłość zapewni jednym rzutem oka,
Zgasi ją tylko śmierci wszechwładna pomroka.
Tam poznawszy Anioła, i szczęście pragnionę
Chcąc się twoich zdrad ustrzedz tam pojąłem
(zonę.

L U D W I K A.

Zcnę!

J Ó Z E F.

Tak jest, kobietę, co kobiet ozdoba,
Ojca ośmiorga dzieci widzisz już przed sobą.

L U D W I K A.

Ośmiorga dzieci! dawnoż męża masz nazwisko?

J Ó Z E F.

Ożeniłem się...będzie...tak, dwa lata blisko.

L U D W I K A.

Jakto, i we dwóch latach aż ośmioro dzieci!

JÓZEF. (*d. s.*)

O tom się złapał... (*głośno*) bo tam...tam prędzej
(czas leci...

Widzisz...w gocarzych krajach...wszystko prędzej
(dziej rośnie;

My biedacy najednej przestajemy wiosuie...

Tamich sześć w ciągu roku najmniej się prze-
(winie...

Tem XIV.

17.

A kiedy kwiat sześć razy nowy na krzewinie
Więc i kobieta...wiesz już?..

L U D W I K A.

Oh tak, tak zgaduję.

A ponieważ już pana ósmioro zajmuje;
Nie chcąc stać się natrętną dobremu mężowi,
Klaniam z szacunkiem, klaniam ojcu Józefowi.

(odchodzi ze śmiechem)

S C E N A V.

JÓZEF, (później) KACPER.

J Ó Z E F.

I odeszła z krwią zimną...nawet się rozśmiała
A ja się obawiałem aby nie zemdlą!
Aby w nagłym rozpacz i smutku napadzie...
A ona się rozśmiała...w równi bowiem kładzie
Czy Józefa utracić, czy też suknię zmienić.
I są jeszcze mężczyźni pragnący się żenić,
I ufają kobietom i łączą się śmieje...
Nawet ja takim byłem...jakiż że mnie cie...
Niebaczni, patrzcie, oto stałości nagroda.
Przykład mój niech naukę pokoleniom poda,
Niech tę prawdę rozgłosi stwierdzoną dowody:
Nie wierz nigdy kobiecie czy starej czy młodej,

Czy jój lice różami młodości zakwita,
Czy o wdzięk, farbą zdobna, zwierciadła się pyta,
Póki tylko choć jeden znajdzie się mężczyzna,
Który choćby dla żartu miłość jej swą wyzna,
Zapomni wszystkich przysięg złudzoną podnie-
Dowiedzie: iż nie próżno stworzona kobieta! (ta,

KACPER. (*wchodząc*)

Proszę pana...

JÓZEF.

Czego chcesz?

KACPER.

Nic...tylko Ludwika.

JÓZEF.

Nie mów mi o niej nigdy!

KACPER.

Co, pan dostał bzika!

JÓZEF.

Bzika...głupiec.

KACPER.

Oj prawda.

JÓZEF.

Co prawda?

KACPER.

Że głupi.

(192)

J Ó Z E F.

Kto?

KACPER. (*patrzac na Józefa*)

Ktoś.

J Ó Z E F.

Kto? pytam.

K A C P E R.

Powiem...lecz pan skórę złupi.

J Ó Z E F.

Nie bój się.

K A C P E R.

Mam powiedzieć?

J Ó Z E F.

No.

K A C P E R.

Powiem w sekrecie,

Dwóch ich tu jest, pomyślnie a może zgadniecie,
(*w chwili*)

Powiem, lecz słowo...

J Ó Z E F.

Słowo.

K A C P E R.

Proszę się nie gniewać,

Kiedy Kacper po prostu zacznie piosnkę śpiewać
Bo on zna rzeczy dobrze.

J Ó Z E F.

Cierpliwość za długa.

Któż są ci głupcy, powiesz?..

KACPER. *(z cicha; obejrzawszy się do koła)*

Pan i jego sługa.

Tak, pan Gustaw i Józef, oba pewnie znani.

J Ó Z E F.

'Ty śmiesz stary gamoniu...

K A C P E R.

Prawda duszę rani;

Tylko pana żaluję, martwi się i smuci,

Myslałem że radosny w dawne progi wróci

Ze po długiej włóczędztwa nareszcie się spocznie,

Ze się koło wesela zajmiemy niezwłocznie,

Już się cieszyłem chwilą kiedy po podróży

Powrót w rodzinny domek blizki ślub wywróży;

Tu konie popaść każą, gotowym być w drogę.

Bóg widzi kocham pana, lecz milczeć nie mogę.

Bo co do głowy przyszło, jakiś wymysł dziki

Ze się tam gdzieś ożenił w głębi Ameryki,

A toć ja wszędzie byłem, chyba w tamtym kraju,

Tak jak u nas, się żenić, nie ma wezwyczajaju.

Nie, to kłamstwo, a kłamać podług mnie sromotą.

Na co wybiegi, kiedy...

JÓZEF. (*d. s.*)

O kobięca cnoto

Gdzież cię znaleźć?

KACPER. (*z cicha dosłyszawszy*)

Gdzie waszą cnotęście zgubili.

Niby ja ślepy byłem, kiedyście chodzili..

Tych panienek fertycznych, nie widział ja niby,

Gdy chcąc wyjrzeć za nimi stłukliście dwie

Powiecie, cóż tu zlego?.. (szyby.

J Ó Z E F.

Ciszęj głupia głowo!

K A C P E R.

Otóż na was, broń Boże by przebąknąć słowo.

Latali jak szaleni zoczywszy dziewczynę,

A ty panno cierp, czekaj..

J Ó Z E F.

I ty chcesz ich winę!..

K A C P E R.

Winę? czyż ona z waszą porównać się może?

Ze panna oozkiem rzuci...a mój wielki Boże,

Wszakże na oczkowaniu nie kończą mężczyzn.

A jeżeli do miłości ma prawa nasz bliźni

Któż słusniejsze od kobiet może rościć prawo,

My tu i owdzie chodzimy...

J Ó Z E F.

Kacper bronii, bravo.

Ty nie wiesz, nie znasz stary, co ten rodzaj
(plam.

K A C P E R.

Eh mój panie Józefie, mówiąc między nami,
Uderzywszy się w piersi, i w szczerości ducha
Powiedziawszy, wszakże żadna tutaj nas nie słu-
(cha:

Mają one swe błędy, lecz zważyć z naszemi,
Pewno by poszły w górę, a nasze do ziemi.
Bo temu nie zaprzeczysz, gdy ci powiem śmieie,
Że w waszych znajomościach macie dziewcząt-
(wiele.

Francuzki nie Francuzki, Włoszki czy Angielki,
Czarne czy oliwkowe, jak z winem butelki,
Odmienialiście w koło, gdzieśmy zajechali.
Było dosyć umizgów, było...

J Ó Z E F.

I tam dali.

Otóż wzór przywiązania, otóż wierność slugi!
Przyłącz się do nich jeszcze; rozpuść plotek
(cugi.
Oczernij pana, powstań z postępków naganą.

K A C P E R.

Ja się brzydzę plotkami, podłość mi nie znana.
Choćem głupi, jak mówisz, bez oleju w głowie,
Polegać jednak można zawsze na mém słowie.
Wini pannę nie słusznie, to mu w oczy powiem.
Twoje rady Józefie są dręczącym mrowiem,
Co go wskrós przeniknęło, ty doświadczasz,
(uczysz,

Jużes go przeinaczył, teraz go ojuczysz,
Żeby za twoją wolą wszystko szło opacznie,
Nie ciągnij mię za język, bo jak Kacper zaczyna...
Chociaż panicz Józefa zawsze chwali zdanie;
Kto z nas go szczerzej kocha, to wielkie pytanie.

J Ó Z E F.

Czyż pan nie ma rozumu?

K A C P E R.

Ma rozum, lecz młody.
Na co te wszystkie kręty, jakieś korowody?
Prosta droga najlepsza. Gdyby mnie zapytał,
Rzekłbym: żeby panienkę jak najprędzej chwy-
Ożenił się i nadal chcąc troski oszczędzić... (tał,

J Ó Z E F.

Cóż czynić?

K A C P E R.

Kacpra słuchać, Józefa odpędzić.

(197)

J Ó Z E F.

Co śmiesz mówić?

K A C P E R.

Co? prawdę.

J Ó Z E F.

Dam ja ci gamoniu.

K A C P E R.

Nie szumno. Łaska pańska na pstrym jeździ ko-
(niu,

Co mię dziś, tobie jutro... nie przewódź nikomu,
Pan dobry, Józef w łaskach, pan zły, Józef z domu.

SCENA VI.

GUSTAW, KACPER, JÓZEF.

G U S T A W.

Nie, tego już za wiele, tego znieść nie mogę;
Kacprze, konie założyć i natychmiast w drogę.

J Ó Z E F.

Słusznie pan czyni, jedźmy.

K A C P E R.

A mnie się nie zdaje.

J Ó Z E F.

Gdzież teraz pojedziemy?

G U S T A W,

Znowu w obce kraje,

Daleko od obłudy i zdrady siedliska,

Gdzie miłość, stałość, znane tylko są z nazwiska.

Ąci najmniejszy dowód nawet nie istnieje,
Że pomyślała o mnie.

K A C P E R.

Co się panu dzieje?

Ja przeciwnie słyszałem...

JÓZEF. (*drwinkując*)

Od parobków może.

G U S T A W.

Stało się...

K A C P E R

Ale panie...

G U S T A W.;

Cóż?

K A C P E R.

Niech ja przełożę.

G U S T A W.

N apróżno, nic nie słucham.

K A C P E R.

A więc pan pojedzie?

G U S T A W.

Niezwłocznie. (*daje zna Józefowi, ten odcho-
dzi*)

K A C P E R.

Jeżeli Kacper panu coś dowiedzie.

G U S T A W.

Nic nie słucham, mówilem...

K A C P E R.

Ha, kiedy tak panie,
Raczie więc przyjąć Kacpra szczerę poże-
(gnanie.

G U S T A W.

Co, i ty mię opuszczasz mój poczciwy sługo?!

K A C P P R.

Długo panu służyłem i może zbyt długo,
Chciałem w usługach twoich dokończyć to ży-
(cie,

Lecz mi się nie podoba, powiem panu skrycie,
Zeście się tak niegodnie jęli drogi krzywěj;
Czemu nie iść otwarcie, jak człowiek poczciwy.
Pauicz młody, gorąco wszystkie rzeczy bierze.
(naśladowując Gustawa)

Stało się... wyjeżdżamy... nie, już jej nie wie-
(swoim głosem) (rzę!«

Gdzież dowód jej nie wiary, na co ją zasmu-
(cać,

Siebie dręczyć...największa, po co kął swój rzu-
(cać.

Tu was widząc rodzice rosnących jak kwiaty,
Radośnie przyjmowali, ślubów waszych swaty,

Tu każde drzewo, struga, miłem jest wspo-
(mnieniem,

Tuście piosnki nucili pod gęstych drzew cie-
(niem,

Ta lipa rozłożysta przed deszczem was kryła,

Tu się mała Anielka z Gustawkiem bawiła.

Tu uczuciem braterskiem przejęci oboje

Jednoczyli i myśli i uciechy swoje.

Jeżeli gdzie, tu pewnie pan będziesz szczęśliwy,

Zawsze budzą tęsknotę obce dla nas niwy.

Nie słuchajcie więc panie przywidzianej zdrady,

Unikajcie przewrotnej i podstępnej rady.

Idźcie prosto, otwarcie jak cnotliwy człowiek;

A ręczę, Kacper jeszcze nie zamknie swych po-
(wiek.

Panienka was przekona, prawda się wyświeci,

I stary może wasze wykołysze dzieci.

Panie, błagam cię, proszę, na te łzy zaklinam.

GUSTAW. (*roztkliwiony*)

Błogie przeszłości chwile z radością wspomi-
(nam.

To prawda, wasza młodość jednym biegła to-
(rem,

Każdy dzień nowych zabaw był dla nas utworem.

Zawsze razem oboje... czy Kacper pamięta,
Kiedy cię za panienkę przebrały dziewczęta?

K A C P E R.

Co też panicz wyrabiał, a panna Aniela
Śmiała się do rozpuku... a ta... ta niedziela...
Gdyśmy całą gromadą do sadu się wkradli,
Gdzie nas z sąsiedzkiej wioski chłopaki napadli...
Oj zmykał panicz tego, i panna suwała,
Płot nie płot, dół czy góra, śmiało przesadzała.
I tylko biedny Kacper, nie mógł zdążyć z wami,
I pono coś dostałem...

G U S T A W.

Pamiętam, ze łzami

Prosiła cię Aniela, byś darował winę.

K A C P E R.

Lube było dziewczętko, i serce jedyne.

G U S T A W.

A kiedy ja wieczorem ukryłem się w lasku?

K A C P E R.

Jak ona rozpaczała, co to było wrzasku.

Zwykle gaśnie pod zimną ementarza mogiłą.

Miłość co się w tak wczesnej zawiązała porze,

Nie panie, com powiedział, zawieść mię nie

(może,

SCENA VII.

GUSTAW, KACPER, ANIELA, JAN. (później) JÓZEF.

A N I E L A.

Czyliż nasza obecność tak mu jest nie miłą,
Ze dla przyjaciół skąpisz nawet jednej chwili?

J A N.

Czémżeśmy na nielaskę sobie zasłużyli?

GUSTAW. (*d. s.*)

Na krok jej nie odstąpi.

A N I E L A.

Sądziłam Gustawie...

Pozwól tak się nazywać...

J A N.

Jesteś bratem prawie

Mój kochanej Anieli.

GUSTAW. (*n. s.*)

Kochanej Anieli!

KACPER. (*n. s.*)

Zjedz diabła!

A N I E L A.

My powrotem twoim tak weseli...

KACPER. (*n. s., spokojniejszy*)

Oh byłem tego pewny...

J A N.

I jeśli czém mogę,

Ja, lub moja Aniela, nim puścisz się w drogę...

GUSTAW. (z. s.)

Moja Anieli!..

J A N.

Chętnie...

K A C P E R.

Dalipan truchleję!

A N I E L A.

Że kilka dni zabawisz, mam błogą nadzieję;
Przyjaciół tak zyczliwy, i tak upragniony...

GUSTAW. (z ironją)

Pani...

A N I E L A.

Nie wierzysz?

KACPER. (do pana)

Ale...

J A N.

Jesteś uprzedzony,

Że cię tu źle widziemy...

KACPER. (u. s. z gniewem)

Czego ten tu stawia?

J A N.

Jednak do twej przyjaźni, mamy wielkie prawa.
Pod jednym chowan dachem z nadobną Anielą,
Która dzieli twe czucia...

G U S T A W.

I inni je dzielą.

J A N.

Nie przeczę, przywiązania mam jawne dowody
W dziecinnéj duszy, jego powstały zarody.

G U S T A W.

Już w kolebce kochała! (*z ironją*)

Zyskałeś pan sławę

Jakiej świat pozazdrości.

J A N.

Te uczucia prawe

Razem z życiem powstały, razem z życie zgasną..

G U S T A W.

Jej stałość jest rękojmią.

J A N.

Znam ją tak jak własną..

G U S T A W.

Winszując tego szczęścia, pewności żałuję.

Lecz kiedy raz ostatni już tu się znajduję;

Przyjm pani zapewnienie wiecznego milczenia.

Bo gdy los nieżyczliwy tak przeszłość odmienia,

Bez wymówek...

J A N.

Co kryjesz, wiadome od dawna,

Wzajemna miłość wasza, była wszystkim jawna..

Przyrzekliście oboje uwielbiać się wiecznie.

Dziś widzicie, przyrzekać jak jest niebezpiecznie.

Pan, już małżonkiem innej, wróciłeś w te strony,

(*wskazując Anię*)

Będiesz więc umiał cenić obowiązki żony.

G U S T A W.

Żony!

K A C P E R.

Masz tobie.

G U S T A W.

Przebóg! prawdaż to?

ANIELA. (*do brata*)

Jak blady!

K A C P E R. (*d. s.*)

Zglupiałem! oh już teraz nie dam sobie rady.

JÓZEF. (*wchodząc*)

Powóz gotów.

ANIELA. (*do brata cicho z prośbą*)

Odjeżdża.

J A N

Jesteś miłym gościem ,

Lecz do szacunku świata wszyscy prawa rościem,

Wiesz jak prędki w sądzie, jak jest podejrzli-

Jak jego wyrok nęka, chociażby fałszywy. (*wy,*

Nie zechcesz więc naszego pokoju zakłócić,

I pobyt twój w tych miejscach jak najprędzej

(*skrócić.*

A N I E L A.

Zegnam.

JAN. (*bierze Aniela za rękę, gdy Gustaw się zbliża.*)

G U S T A W.

Anielo!

J A N.

Pojazd czeka. Żegnam!

(*Jan i Aniela wchodzią do gabinetu po lewej aktorów, i drzwi zostawiają otwarte.*)

S C E N A VIII.

GUSTAW, KACPER, JÓZEF. (*Jan i Aniela w gabinecie*)

JÓZEF. (*do Kacpra stojącego w zadumieniu*)
Baśnie!

He? cóż!

GUSTAW. (*rzucając się na krzesło*)

Ah! tracę siły.

K A C P E R.

Niech ją piorun trzaśnie,
Za przeproszeniem pana!..

JÓZEF. (*do Kacpra*)

Józef źle doradził,
Józef pana nie kocha. Józef pana zdradził!

GUSTAW. (*d. s.*)

Janieźmienny, w miłości i danej przysiędze,
Wracam z słodką nadzieją i trudów nie szczę-
(dzę,

Ja zśród tysiąca ponęt, niosłem wolne serce.
Nie dawszy uczuć obcych zaliczyć się iskierce,
A ona miasta zdała i tłumy daleka!

Niewierna, tutaj z mężem na mój powrót czeka!

K A C P E R.

Jakto panie?

J Ó Z E F.

Eh, cicho!

KACPER. (*z radością*)

Więc pan nie ma żony!

I to był tylko podstęp?..

J Ó Z E F.

Podstęp uwieńczony.

Zeby choć godny powód do złamania wiary,
Jaki młodzieniec piękny, nie — łysy i stary...

G U S T A W.

Dosyć tego Józefie.

J Ó Z E F.

Ale...

G U S T A W.

Ani słowa.

Stało się, już ma męża, niech zmiłknie obmowa!

Przytlumię ogień w duszy i boleść zagrzebię.
Ale tej, która była gwiazdą na mem Niebie,
Która uczucia, myśli, bywała przewodnią,
Nia splamię ni obelgi ni potwarzy zbrodnią.

(*tkliwie*)

Ona wiecznej męczarni stała się sprawczynią,
Jednak jej nie obwiniam, choć ją wszyscy
(*winią,*

Wiem co mówili o mnie, jak mię wystawiali,
Nieufność w niej, nienawiść w duszy zaszcze-
(*piali,*

Sama, z niewinnem sercem, kochając, wątpliwa,
Nie wie że wrogaswego życzliwym nazywa.
Zdradzieckich porad słucha, uwieść im się
(*daje,*

I chcąc zostać szczęśliwą, występna zostaje.
Oby tylko w tym związku cierpień nie dożyła,
Godna jest być szczęśliwą...godna...choć zdra-
(*dziła.*

KACPER. (*całując rękę Gustawa*)

Poznaje mego pana, tak myśli człek prawy.

ANIELA. (*do brata, we drzwiach gabinetu*)

Znamy już tajemnicę...

JAN. (*do Anieli*)

Koniec jęj ciekawy.

SCENA IX I OSTATNIA.

JAN, ANIELA, (w gabinecie) GUSTAW, JÓZEF,
KACPER, LUDWIKA, WIEŚNIAK.

LUDWIKA. (*wprowadzając wieśniaka*)

Pójdźże, czego się boisz?...pau Gustaw tu jeszcze.
Myślałam że odjechał, i że się popieszczę...

JÓZEF.

Z kim takim!

LUDWIKA.

Czy nie widzisz? chłopaczek jak róza,
Będzie wybornym mężem, wciąż oczy przy-
(mruza.

JÓZEF.

Jakto! i tyś kochanie panną być przestała!

LUDWIKA.

Przyznam się, tydzień cały po tobie wzdychała,
Płakałam i płakałam, ale mi mówili,
Zem brzydko kiedy płaczę, startałam łzy w tęj
(chwili

Smutek ani zawitał do serca i twarzy.

Wiesz dobrze, głupstwo nie brać gdy się brać
(wydarzy,

Więc i ja widząc chłopców zgraję nieustanną,
W obawie by nie zostać czasem starą panną,
Gdy mię panieństwo nudzi i miłość zwycięża,
Ot tego sobie żwawca wybrałam za męża.

K A C P E R.

Co, ita już ma męża!.. dla Boga!

J Ó Z E F.

Głupieję...

Al! panie uciekajmy, jedźmy.. oszaleję!..
Rzućmy tę otchłań piekła, niewiary siedlisko,
Powróciliśmy tylko tu na pośmiewisko.

L U D W I K A.

Jakże panie Józefie, jak ci się podoba
Mój mąż?..

J Ó Z E F.

Twój mąż?

L U D W I K A.

Aha!

J Ó Z E F.

Ten?

L U D W I K A.

Całej wsi ozdoba.

JÓZEF. (*cicho, do Ludwiki*)

Nie zazdroszczę mu wcale, oh, głupiec komple-
(*tny,*
Już jak ty go ozdobisz, będzie miał strój świetny.

Tylkoteż podobnego mogłaś jeszcze dostać,
Chcieć zostać twoim mężem, jest chcieć osłem
(do pana) (zostać.

Ah panie, nie wytrzymam, już mię kolka kole,
Wolę się już dać zabić i kark skręcić wolę,
Niżli patrzeć na tego, którego wybrała:
Mogła mieć we mnie męża, a wzięła cymbała!

L U D W I K A.

Tak wielkiej między wami różnicy nie widzę.

J Ó Z E F.

Co! jeszcze szydzisz ze mnie?

L U D W I K A.

Nie, wcale nie szydę.

KACPER. (zbliżając się do pana)

Jedno słowo pozwólcie powiedzieć mi panie.

G U S T A W.

Słucham.

K A C P E R.

Kiedy ma męża, złożcie pożegnanie
I dalej w Imię Boże, i ja z panem wszędzie.
Myślałem, że już koniec tej włóczęgi będzie,
Lecz kiedym się przekonał że świat tak zepsuty...

JAN. (przybliżając się naprzód z Anielą)

Wstrzymaj twój głos choć szczery, lecz błędem
(zatruty.

(Ludwika uśmiecha się)

Uśmiechasz się, rozumiem, rękę podać można,

L U D W I K A.

Lubo taki występek przebaczyć rzecz zdrożna,

Idąc pani przykładem, o nic cię nie pytam,

I żegnając zastępcę, męża w tobie witam.

K A C P E R.

Bogu chwała, że wszystko w ten sposób się koń-

(czy

J A N.

A teraz, pamiętajcie, gdy was związek łączy,

Waszym przysięgom wierni, w ufności nie-

(zmienni,

Żonaci, nawet żartem nie bądźcie bezżenni.

K O N I E C.

TERENTIA.

KOMEDJO-OPERA

W JEDNYM AKCIE

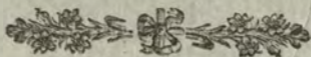
PP. Scribe i Delavigne

z francuzkiego

TŁUMACZONA.

Muzyka, Józefa Damser.

4



PRZEDSTAWIONA PIERWSZY RAZ

NA TEATRZE ROZMAITOŚCI

dnia 25 Marca 1836 r.

O S O B Y.

- PAN DUBOCAGE, JP. *Baraniecki.*
JULJUSZ LAROEHE, jego
siostrzeniec, JP. *Gizewski.*
TERENIA, jego córka, JPa. *Teressa Damse.*
PIOTR, ogrodnik, pana
Dubocage, JP. *Majewski.*
JULISIA, ogrodniczka, JPa. *Rostkowska.*

(*Rzecz dzieje się w dobrach p. Dubocage*)

TERENIA.

(Scena przedstawia salon wychodzący na ogród)

SCENA I.

JULISIA, PIOTR. (*Julisia siedzi i szyje*)

PIOTR. (*wchodząc*)

Julisiu, czy nie słyszałaś że dzwoniło u furtki ogrodowej?

JULISIA.

Słyszałam; ale mówiono że nasz pan nie chce dziś przyjąć nikogo z obcych.

PIOTR.

Ponieważ pragnie być sam w gronie swojej rodziny... Oczekuje powrotu swojego siostrzeńca, z którym się poróżnił przed 12tu la-

ty, i który dziś powraca z Ameryki z dziesięciorgiem dzieci.

JULISIA.

A więc nie on, ponieważ ten miał tylko ze sobą małą dziewczynkę!

PIOTR.

Zawsze należało zobaczyć... Pamiętaj przecie, że za jego wstawieniem się nasze małżeństwo mogłoby... (*chce wyjść*) Patrz, musiał obejść do koła, bo jest przy tej kracie.

SCENA IV.

CIŻ, JULJUSZ, TERENIA. (*którą Juljusz prowadzi za rękę*)

JULJUSZ. (*wchodząc*)

Przecież nam otworzono.

PIOTR. (*patrząc na niego*)

Ah tak! Niech mi Bóg przebaczy! Julisiu, patrz, nie się nie odmienił... Albo ja nie jestem Piotrem, albo to jest mój dawny pan, Juljusz Laroche.

JULJUSZ.

Któż tu wymienił moje nazwisko?

PIOTR.

Jakto, pan nie poznajesz tego, który wszy-

śtko winien twojej dobroci? tego małego Piotrka, którego zostawiłeś przy swoim wuju, odjeżdżając do Ameryki?

J U L J U S Z.

Czy podobna? to ty! cieszę się niewymownie że cię oglądam mój poczciwy Piotrze.

PIOTR. (*do siebie*)

Mój poczciwy Piotrze, co za dobry pan. Domyślam się, że to małe dziecię jest zapewne pańską córeczką.

T E R E N I A

Tak jest.

J U L J U S Z.

Moja łuba Terenia.

P I O T R.

Byłem tego pewny. (*do Julisi*) Jedna z tych dziesięciu. (*głośno*) Bardzoś pan dobrze uczynił, że tu wszystkie ze sobą sprowadziłeś, gdyż wuj pański pragnie ich jak najprędzej uściskać.

J U L J U S Z.

A więc to prawda, że mój wuj pomimo przysięgi, iż nas nigdy widzieć nie chce, skłania się nareszcie do przebaczenia?

T E R E N I A.

Widzisz mój ojczy, a mama nie chciała temu wierzyć.

JULJUSZ. (*do Piotra*)

Tak, moja żona natychmiast wysłała nas...

JULIA.

Jako, żona! Przecież nasz pan mówił nam, że panicz już jesteś wdowcem...

JULJUSZ.

Nie! dzięki niebu!

PIOTR.

Wdowcem z dziesięciorgiem dzieci.

JULJUSZ.

Dziesięcioro dzieci! mam tylko tę jedną córkę.

TERENIA.

Tak, jestem jedynaczką!

PIOTR.

Ah mój Boże! zginąłeś pan! albowiem pan Dubocage dla tego tylko postanowił ci przebaczyć, że jesteś wdowcem i masz dziesiątek dzieci.

JULJUSZ.

Objasnij mię.

PIOTR.

Od 12tu lat, czyli od czasu ożenienia się pańskiego, nasz pan nie chciał nawet słyszeć o nim; gdy przed kilką miesiącami, przyjechał

z Ameryki jeden z korespondentów naszego pana i doniósł mu, że widział w mieście...

J U L J U S Z.

W Nowym Yorku.

P I O T R.

Tak, tak, że widział w Nowym Yorku, pewnego negocjanta francuzkiego nazwiskiem Laroche.

J U L J U S Z.

Ah teraz poznaję źródło téj pomyłki; wistocie jest w Nowym Yorku jeden z moich współrodaków nazwiskiem Laroche, wdowiec ojciec 10 dzieci, z tą tylko różnicą że on jest bogaty, a ja nie mam nic, że jest negocjantem a ja żołnierzem. (*wyjmując list*) Dla tego też list mojego wuja był adresowany do pana Laroche negocjanta! To nie byłoby mi nawet przez myśl przeszło. (*czytając list*) »Niech wszystko będzie zapomniane; odebrawszy mój list, wyjeżdżaj natychmiast z całą twoją rodziną.« Ten wyraz, z całą: podkreślił sądziłem, że się tyczył mojej żony. Moi przyjaciele, co czynić teraz, co przedsięwziąć?

P I O T R.

Do licha, wuj pański nie bardzo będzie

chciał słuchać głosu rozsądku, bo namiętnie lubi dzieci.

TERENIA.

Alboż ja tu nie jestem?

JULISIA,

Jedna za mało dla niego; to największa roskosz kiedy go otoczy grono młodych dziewcząt i regiment chłopców. Czasem nawet w swoim ogrodzie nagromadzi dzieci z całej okolicy. Nie dawno, w imieniny naszego pana, bakalarz wyuczył dzieci komedji, którą grać mieli w kostiumach umyślnie z Paryża sprowadzonych, leżą tam jeszcze, pan ich nawet nie widział bo nim się komedja zaczęła, dzieci do spania zawołano.

TERENIA. *(która słuchała z uwagą)*

Doprawdy?

JULJUSZ.

Jeżeli tak, nie będziemy najlepiej przyjęci, a szczególniej twoja matka Tereniu; przysiągł bowiem że jej nigdy widzieć nie chce, lepiej wrócić...

TERENIA.

Nie, mój papo... błagam cię.

J U L J U S Z.

Cóż chcesz uczynić?

T E R E N I A.

Nie wiem; ale czyby nie było jakiego sposobu?

P I O T R.

Pół mili stąd mieszka p. Frémoncourt przyjaciel wuja pańskiego, którego i panicz musisz znać zapewne; on mógłby dać dobrą radę, albo wstawić się.

J U L J U S Z.

Prawda, dawny przyjaciel mojego ojca, ale pół mili... odesłałem mój powóz... a to dziecię nie mogłoby.. †

P I O T R

Niech nam ją pan zostawi, będziemy mieli o niej staranie; a jak pańska małżonka wróci wieczorem, jako wierni słudzy przyjmujemy ją jak najuprzejmiej.

T E R E N I A. *(do Julisi)*

Pójdź ze mną do ogrodu...powiem ci co chcę uczynić, a ty mój ojciec może za powrotem w te miejsca znajdziesz szczęście i radość!

J U L J U S Z.

A więc zestawiam wam moją Terenię, oby

mi Bóg dozwolił nagrodzić wam kiedyś wasze przywiązanie. (*odchodzi, Juljusz na prawo, Terenia i Julisia głębią*)

S C E N A III.

PIOTR, (potem) DUBOCAGE.

PIOTR. (*patrzac na lewo*)

Ah nasz pan. Dzięki niebu, dziś tylko jeden służący go prowadzi.

DUBOCAGE. (*wchodzi wspierając się na służącym*)

Nie tak prędko, mówiłem ci, nie tak prędko... (*siada w fotelu*) Niech te wszystkie zabawki zaniosą do mojego pokoju, a ostrożnie żeby nie połamać. (*oddaje służącemu zabawki które przyniósł*) Piotrze, czy przygotowane pokoje dla mojego siostrzeńca, dla jego rodziny.

P I O T R.

Przygotowałem, panie, ale dziesięcioro dzieci, co to będzie bałasu! jaki nieporządek w domu! Nie mówię już nic o moich kwiatkach, klombach, jużem się pożegnał z niemi, (*n. s.*) i od ośmiu dni nie tknąłem ich wcale.

DUBOCAGE.

Tem właśnie naprzód się już cieszę. Utrudza mię ta nie przzerwana spokojność mam 60 lat, i tyleż tysięcy franków rocznego dochodu, nudna rzecz tak samemu tracić majątek.

P I O T R.

Kto temu winien? niech pan tylko się odezwie, a nie zbraknie współbiesiadników...

DUBOCAGE.

Tak, obcych ludzi; gdy tymczasem będę sobie w gronie mojej rodziny, ona ożywi tę samotność, rozweseli dni mojej starości; uważ tylko, ośmiu synów i dwie córki, co za różnorodność charakterów! co za różnica gustu, chęci, skłonności! będzie to prawdziwe towarzystwo w miniaturze. Już się widzę wpośród nich, będą mię szanować, kochać, a nadewszystko wypełniać każdą moją wolę. Dla tej tylko przyczyny pojednałem się z siostrzeńcem... Powraca tu z dziesiątkiem dzieci, i musi ich być tyle, bo gdyby jednego brakowało, jutro sambym się ożenił...

P I O T R.

Jak też pan lubi cudze dzieci!

Tome XIV.

20.

DUBOCAGE.

Piotrze, weź konia i jedź do najbliższej poczty, tam muszą być listy do mnie; dowiem się dla czego mój siostrzeniec dotychczas nie przybył.

PIOTR.

Jeżeli tylko o to idzie, można być spokojnym. Pan Juljusz zdrów, chociaż się odmienił cokolwiek.

DUBOCAGE.

Widziałeś go! oni są tu, a ty mi nie doniosłeś?..

PIOTR.

Nie, oni jeszcze... tu nikt nie przybył. (*n. s.*)
Do kata, nie wiem jak mam powiedzieć.

DUBOCAGE.

No, czy powiesz mi nareszcie?

PIOTR.

Oto, Julisia była w Rétal, i widziała całą rodzinę u pana Frémoncourt. Tam zajechali potajemnie, aby chwilę wypocząwszy, niespodzianie zadziwić pana.

DUBOCAGE.

Czy podobna? Cóż mówiła Julisia, czy ładne dzieci?..

P I O T R

Widziała małą córeczkę...

D U B O C A G E.

Córeczka! to dobrze, dobrze; a więcej? inne dzieci, szczególnie chłopcy!

P I O T R.

Oh co się tycze chłopców... to bardzo małe jeszcze... o tych, nie ma co powiedzieć, bo...
(n. s.) bo ich nie ma.

D U B O C A G E.

Nie prawdaż, rokosz żyć w tak licznej rodzinie!

P I O T R.

Z chłopcami będzie łatwa sprawa, z niemi pan zrobisz co ci się tylko będzie podobało.

S C E N A IV.

DUBOCAGE, PIOTR, TERENIA. (*w ubiorze chłopczyka, z bębenkiem w ręku*)

T E R E N I A

SPIEW, NR 1.

Wszyscy chcą bym mędrceem był,

To szkoda tracić czas;

Na żołnierza mam dość sił,

Hej książki żegnam was.

(*bębni*)

Pan, pan, pan...

W huku, wrzawie, rokosz żyć,
I całe pędzić dni;
Najmilej żołnierzem być
Kiedy taraban grzmi.

Pan, pan, pan...

Gdy się chłopców zbierze rój,
I kłótnię wzniesi traf,
Na zgodę to sposób moj
Każdego paf, paf, paf.

Pan, pan, pan.

P I O T R.

A ten zkaąd się wziął?

T E R E N I A.

Powiedzcie mi, gdzie jest mój wuj, p. Dubocage?

D U B O C A G E.

Widzisz go przed sobą, mój mały przyjacielu.

P I O T R.

Wuj. (r. s.) Cóż mówił pan Juljan?..

T E R E N I A.

Jako, w tém krześle? patrzcie, on już sobie dobrze na dziadka zakrawa.

DUBOCAGE. (z uśmiechem)

Ha! ha! szczery chłopaczek. Pójdźże uściskaj mię.

T E R E N I A.

Chętnie.

D U B O C A G E.

Jak się nazywasz?

T E R E N I A.

Achilles.

D U B O C A G E.

Imię bardzo stosowne, bo wydajesz mi się małym psotnikiem. Ale powiedz mi, z kąd się tu wzięłeś, bo Piotr mówił mi, że widziano was wszystkich w Rétal u pana de Frémencourt.

A C H I L L E S.

Ah Piotr panu powiedział, że nas widziano?.. to prawda.

P I O T R. (n. s.)

Dobrzem skłamał.

A C H I L L E S.

Tak, ale kiedy mój ojciec zamknął się z tym starym panem Frémencourt..

D U B O C A G E.

Ale on nie jest tak bardzo stary, młodszy odemnie.

A C H I L L E S.

Wszystko jedno, ale zawsze stary; nudził

nas niemiłosiernie, więc zostawiliśmy innych, a Fortunat, Teodor, Oskar, Coco, i ja poszliśmy tu...

P I O T R.

Oscar, Teodor, Coco... Musi być ich tuzina przynajmniej.

D U B O C A G E.

Kochane dzieci, aby mię prędzej uściskać! bardzo ładnie z waszej strony.

A C H I L L E S.

Ah powiadam ci kochany dziadku, jak tylko zobaczyliśmy kasztany w ogrodzie, hejże na mur; jakiś strzelec zaczął na nas krzyczeć-że popsujemy klomby, że pan Dubocage gniewać się będzie. My usłyszawszy nazwisko dziadunia, skoczyliśmy wszyscy w ogród. Żebyś też wtenczas właśnie dziadunio stał pod murem, ukryty, a my na ciebie skoczyli... wiem iż bardzo byś się cieszył naszym powitaniem.

D U B O C A G E.

Więc was strzelec przyprowadził tutaj?

A C H I L L E S.

Nie. Oskar i Coco postrzegliśmy czótenko, na sadzawce, pobiegli pływać. Coco jest wielkim admirałem!

DUBOCAGE.

A ty moje dziecko wolałeś pobiedz w uści-
ski wuja.

ACHILLES.

Ehe, ja i Teodor przyszlismy tu, bo nam
się chce jeść nielitościwie.

DUBOCAGE.

A gdzie Teodor?

ACHILLES.

On został międzyszpalerami...to żarłok stra-
szny mój brat Teodor, narwał brzoskwiń i je.

DUBOCAGE.

A ty?

ACHILLES.

Eh, ja nie chciałem rwać bo to niegrzecz-
nie.

DUBOCAGE.

Ah, bardzo dobrze.

ACHILLES.

A potem, ja od brzoskwiń zawsze choruję,
wolę co innego; kaź dać wujaszku..

DUBOCAGE.

Piotrze, przynieść mu co jeść.

PIOTR.

Pasztet z szafy.

DUBOCAGE.

Będiesz że ty milczał, pyszny pasztet wy-
śmienity, ze Strazburga; niech go nikt nawet

tknąć się nie poważy. Potém to za ciężkie dla
dzieci, będę go dziś jadł na obiad. Przynies co
znajdziesz. (*Piotr wychodzi*)

SCENA V.

DUBOCAGE, ACHILLES.

DUBOCAGE. (*n. s.*)

Zaproszę pana de Frémoucourt, ten paszet,
wyborna myśl!..(*przysuwa stół, zaczyna pisać*
Achilles skacze przez sznurek śpiewając)

SPIEW, NR 2.

Nie raz mi mama mówiła:

»Achilku mój nie skacz,

»Taka zabawa nie miła

»Za którą idzie płacz.«

(*mówi*)

A ja mamie na to.

(*śpiewa*)

La, la, la...

DUBOCAGE.

Co ty wyrabiasz, moje dziecię?

ACHILLES.

»Na cóż masz żałować potém;

»Lepiej za dobrem dążyć?

»Odpowiadam na to zwrotem

»I skaczę, skaczę wciąż.

La, la, la...

Ab mój Boże, powiedz mi dziaduniu jakby to zrobić żeby dwa razy sznurek przekręcić w jednym skoku.

DUBOCAGE. (*dając mu znak ręką*)

Mój Achilku, zaczekaj troszkę, przeszkadzasz mi.

A C H I L L E S.

Mój wuju, czy ty nigdy nie bawisz się sznurkiem, naucz że mię. Czy trzeba wyżej skoczyć?

D U B O C A G E.

Co za pytanie! jakże ja...

A C H I L L E S.

No, kiedy nie wiesz mój wuju, już cię nie przymuszam żebyś mię uczył, ale ja chcę koniecznie dwa razy przekręcić.

D U B O C A G E.

Powiedziałem ci że mi przeszkadzasz, baw się w co innego.

A C H I L L E S.

Mnie wszystko jedno, abym się tylko bawił.
(*śpiewając i skacząc przysuwa krzesła i fotele*)

do stołu, stawia jedne na drugich, pan Dubocage pisząc niecierpliwie się ale nie odwraca się do Achillesa który wchodzi na stół)

DUBOCAGE. *(postrzegłszy)*

Co ty czynisz? skaleczysz się jak upadniesz.

A C H I L L E S.

Nie nie szkodzi, bawię się w fortecę, i teraz idę szturmować jej dobywać... Pif, paf, pan, pan, 'aba...*(obala stolki, i zeskakuje na ziemię)* zwyciężyłem!

DUBOCAGE.

Ah Boże jaki hałas, jaki kurz, połamie krzesła... Żebyś mi się nie wazył dotknąć żadnego sprzętu, żebyś nic nie psuł.

A C H I L L E S.

No jakże się będę bawił?

DUBOCAGE.

Prawda...wynajdź sobie co innego...*(pisze znowu)*

A C H I L L E S. *(dobywa z kieszeni piłkę, bawi się nią, i rzuca na stół na którym pisze p. Dubocage)* Otóż mamy przewrócił kałamarz, oblał papier, muszę zacząć list na nowo; szatan nie dziecko. *(bierze Achillesa za rękę i sadza*

go pō drugiej stronie stołu) Zebyś mi nie wsta-
wał z tego krzesła, rozumiesz, ani mi się rusz
z miejsca! Już nie wiem gdzie mam głowę...
gdzież jest ten list... (*Achilles wziął bębenek ze
stołu i bębni z całych sił*)

DUBOCAGE. (*nagle się porywa*)

Ah mój Boże! nie do zniesienia! (*Achilles
bębni wciąż*) Będziesz ty cicho?

A C H I L L E S.

Przecież się nie ruszam z miejsca. Kazałeś
mi wuju bawić się na miejscu.

SPIEW, Nro 3.

Kazałeś się bawić przecię.

D U B O C A G E.

Będieszże ty cicho, ty!..

A C H I L L E S.

Pan, pan, pan, pan, pan.

D U B O C A G E.

Ah to jest przekłete dziecię

Przyjdzie rozum stracić mi!

A C H I L L E S.

Pan, pan, pan.

D U B O C A G E.

Czy nie ma tam kogo w pokoju

Niech mię wyprowadzi ztąd.

A C H I L L E S.

Pan, pan, pan.

D U B O C A G E.

Cudze dzieci, tyle znoju

Skryjmy się w najdalszy kąt.

(ucieka przed idącym za nim Achillesem)

A C H I L L E S.

Pan, pan...

SCENA IV.

TERENIA, JULISIA, PIOTR.

TERENIA.

Zwycięztwo , zwycięztwo , wujaszek uciekł przede mną!

PIOTR. *(do Julisi)*

Nie uprzedziłaś mię, czyż mogłem zgadnąć że wszystkie dziesięcioro już są tu?

JULISIA.

Jakież ty głupi. *(do Tereni)* No jakże się pannie udało?

TERENIA.

Wybornie , mój wujaszek rozgniewał się okropnie, i dzięki Bogu już mię nie cierpi; ale nie dosyć na tém. Powinniście mi dopomagać, bo wiesz że potem będę prosiła wuja aby ci pozwolił iść za Piotra.

JULISIA i PIOTR.

Czegóż więc panienka chcesz?

T E R E N I A.

Naprzód przynieś mi ten pasztet ze Strazburga o którym wujaszek mówił.

P I O T R.

Oh oto nasz pan gniewałby się najmocniej!

T E R E N I A.

On tak dobry... czegóż się boisz? jeżeli chcesz mieć żonę, trzeba mię słuchać.

P I O T R.

Znam go, wszystkoby przebaczył, ale tego nigdy, lubi pasztet niezmiernie... ale prawda, to do mnie należy, panienka bierzesz wszystko na siebie. (*Piotr przysuwa pasztet*)

T E R E N I A.

Tak jest, siadaj Julisiu, ty Piotrze z drugiej strony; nim kwadrans upłynie, już pasztet powinien zniknąć, pamiętajcie zjeść wszystko, ja zaraz powrócę.

SCENA VII.

PIOTR I JULISIA. (*siedzą przy stole*)

PIOTR. (*kraje pasztet*)

Ah doskonały!

J U L I S I A.

Coś ty zrobił?

PIOTR. (*mając usta pełne*)

Ja chcę mieć żonę, słyszałaś, nie ma innego sposobu! (*patrzac że Julitia go uważa*) Dopomagajże mi trochę, nie mogę sam wszystko robić; w każdym małżeństwie i żona pomagać powinna.

J U L I S I A.

Kiedy tego chcesz. (*jedząc*)

SPIEW, NRO 4.

P I O T R.

Trzeba posłuszną być ci w każdej chwili,
Na to przysięgasz mężowi przy ślubie.

J U L I S I A.

Piękną rzecz bardzo sobie wymyślili,
Właśnie posłuszną nigdy być nie lubię.

P I O T R.

Dla męża tkliwego

Odmówisz gdy prosi.

J U L I S I A.

Kiedy pięknie prosi,

Ah to co innego.

P I O T R.

Powstaniesz na niego

Gdy za rączkę chwyci,

JULISIA.
Kiedy ją uchwyci,

Ah to co innego.

PIOTR.
Uścisku miłego
Czy wzbronisz mężowi?

JULISIA.
Co wzbraniać mężowi?

To znów co innego.

PIOTR.
Buziaczka twojago
Gdy skromnie zapragnie.

JULISIA.
Gdy skromnie zapragnie,
Wszystko dam dla niego.

PIOTR.
Więc tylko prośbie ulegniesz jedynie,
Lecz posłuszeństwa twego nie posiadę?

JULISIA.
Wszystkim twym prośbom zadosyć uczynię,
Ale posłuszną ja nigdy nie będę.
Ah jakże to przepziwnie!

PIOTR.
Spiesz się, jedz wiesz dobrze że nie ma
czasu do stracenia; mamy zjeść wszystko, a

co się tycze żołądka jestem bardzo sumien-
ny.

JULISIA. (*jedząc ciągle*)

Śluchaj, ale będzie śmiesznie jak...

P I O T R.

I niebezpiecznie.

J U L I S I A.

Dla czego?

P I O T R.

Bo można się udawić, a nie ma czém po-
pić.

S C E N A VIII.

CIŻ I TERENIA. (*przebrana za małego tłu-
stege chłopczyka*)

T E R E N I A.

A co, jużście zjedli?

P I O T R.

Jeszcze nie, a jednakże nie oszczędziliśmy
pracy i trudów; jeduak resztę możemy za-
brać jeżeliby przaszkażać.

J U L I S I A.

Przykładaliśmy się ile możności.

T E R E N I A.

Prawda macie zasługi. (*zaglądając do pa-
sztetu*)

P I O T R.

Jeszcze się raz przysunę do niego a nie
nie zostanie.

T E R E N I A.

Wujaszek idzie, uciekajcie, tego właśnie
chciałam.

P I O T R.

Pozwól mi panienska dokończyć. (*Terenia
wypycha ich*)

SCENA IX.

T E R E N I A. (*siada przy stole przed pasztetem
niły jedząc chciwie*)

DUBOCAGE. (*wspierając się na służącym*)

Przecież ukończyłem list, Lapiere zanieść
go do p. Frémoncourt. (*służący odchodzi*)
Zdaje się że pan Achilles już zabębnił do
odwrotu. Co widzę?

T E O D O R. (*zpostacią głupią*)

Dzień dobry, wuju Dubocage. Powiedzia-
no mi że coś tam piszesz w twoim gabine-
cie, nie chciałem ci przerywać.

DUBOCAGE.

No ten przynajmniej zdaje się jakiś spokojny. Któż jesteś mój mały przyjacielu.

TEODOR.

Kto jestem?..he, he...śmiesznie...Teodorek!

DUBOCAGE.

Aha, Teodorek. Ale cóż ty tu robisz?

TEODOR.

Znalazłem pasztet wszafie i bawię się.

DUBOCAGE.

Ah mój Bcże, mój pasztet!

TEODOR,

A juści, powiedziano mi że twój wujaszku, i dla tego zjadłem go kawaleczek.

DUBOCAGE.

Kawaleczek! mniejsza połowa została, a ja właśnie zaprosiłem p. Frémoncourt...przyjedzie na same resztki! Pójdź no tu, nieszczęśliwy chłopcze! gotów jeszcze zachorować..

TEODOR.

Powiedz mi mój wuju?..

DUBOCAGE.

No, czego chcesz?

TEODOR.

Chciałbym wiedzieć...he, he, chciałbym wiedzieć...

DUBOCAGE. (*przedrzeźniając go*)

I he, he, chciałyby wiedzieć... (*patrząc na niego*) Rzecz szczególna! ma w sobie coś familijnego, a jednak postać tak gapiowata. (*głośno*) No cóżes chciał wiedzieć?

T E O D O R.

Chciałyby wiedzieć kiedy dadzą obiad?

D U B O C A G E.

On tylko o jedzeniu myśli; nie widziałem jeszcze takiego zarłoka. Albożes przed paszetem nie jadł brzoskwiń?

T E O D O R.

Oh wieleż ich zjadłem, 30 lub 40, co się tycze śliwek, tych wcale nie liczyłem; szkoda że gruszki tak wysoko, musiałem kamieniami ciskać, żeby którą zrzucić.

D U B O C A G E.

Ah mój Boże, kamieniami... a moje szklane dzwony!

TEODOR. (*śmiejąc się gapiowato*)

He, he, he, wszystko potłuczone, gdybyś wiedział wujaszku jaki ja zręczny, co rzucę kamieniem, prawda że gruszka nie spadła, ale dzwony dzień, dzień, dzień.

DUBOCAGE.

Proszę, mówi o tem tak spokojnie!.. czy można być głupszém stworzeniem! gdzież są twoi bracia? przyprowadź ich tu, bo jeżeli do ciebie podobni, pewno mi narobią nie mało szkody.

TEODOR.

Ja mam ich przyprowadzić? he, he... lepiej sam idź po nich wujaszku.

DUBOCAGE.

Ah grzeczny bardzo...

TEODOR.

Nie lubię biegać, lubię siedzieć i jeść, he, he.

DUBOCAGE.

Trzeba biegać, powinienes się przyzwyczać, to ci będzie zdrowiej...

TEODOR. *(kładąc rękę na żołądek)*

Eh i on tak zawsze zdrów. Ah! la! la! powiedz mi mój wujaszku ah! la! la! la! *(skacze trochę)* Oh mój Boże, jakże mi słabo.

DUBOCAGE.

Cóż ci to?

TEODOR. *(placząc, krzywi się)*

Ja nie wiem, ale jestem chory.

DUBOCAGE.

Cóż ci jest, co cię boli?

T E O D O R.

Albo ja wiem; ale kiedy jestem chory, oj!
oj! muszę umrzeć. Ah mój Boże, to ten pa-
sztet wujaszka... ah muszę umrzeć...

D U B O C A G E.

Ale gdzie cię boli?..

T E O D O R.

Wszędzie, tam w boku... w żołądku...

D U B O C A G E.

Masz tobie, jak zachoruje, przyjemnie! Ho-
la, jest tam kto, Julisiu! Ah przeklęty dzieciuch
połowę pasztetu! Julisiu, Piotrze!

S C E N A X.

CIŻ, JULISIA, PIOTR.

D U B O C A G E.

Julisiu weź tego malea, każ mu dać her-
baty.

TEODOR. *(placząc ciągle)*

Ja nie chcę herbaty.

D U B O C A G E.

Nowy kłopot; ale mój kochaany będziesz
zdrów, herbata cię uleczy... to się napij zió-
łek, zobaczysz że ci pomoże.

T E O D O R,

Nie prawda, ziółka nie dobre, jeszcze bar-
dziej zachoruję, nie chcę ziółek!

DUBOCAGE.

Jeżeli się nie napijesz, to umrzesz.

TEODOR. *(płacząc)*

Nie, ja nie chcę umrzeć, i nie chcę pić herbaty! ah! ah! chyba że mój wujaszek będzie pił piérweј.

DUBOCAGE.

Ah to już za wiele, niech cię kaci porwą! ..

TEODOR. *(krzywiąc się)*

Ah, aj, aj, coraz mocniej boli; wujaszek temu winien, a nie chce mię uleczyć... powiem mojemu papie... ah, aj, aj.

DUBOCAGE.

No, no, już dobrze; ponieważ tak trzeba, już będę pił; Julisiu przynieś mi filiżankę ziółek... a weź go ze sobą, niech nie słyszę więcej tego wrzasku i płaczu. *(Julisia wyprowadza Teodorka)*

SCENA XI.

DUBOCAGE, PIOTR.

DUBOCAGE.

Czy widziano kiedy co podobnego, miu szę pić ziółka dla zdrowia tego malca, ziółka! ja co uienawidzę ziółek! Przyjemnie będzie, je-

żeli zaśląbnie i doktor każe mu zażyć emetyku, to i ja będę musiał...

P I O T R.

Nie wiem co się stało małemu?

D U B O C A G E.

Zachorował, patrz, to wszystko czego brakuje z pasztetu on zjadł.

P I O T R.

Oh jeżeli pan się obawiasz dla dziecięcia tytko tej niestrawności, ręczę że małemu nie będzie.

D U B O C A G E.

Tak myślisz, a ja ci powiadam, że gdyby nawet stary zjadł tyle, toby mu zaszkodziło.

P I O T R.

Co! co pan mówi?

D U B O C A G E.

Ty nie wiesz jak to ciężkie, to leży jak ołów w żołądku, szczególnie kiedy kto je nie pijąc; i są przykłady że umierali od tego.

P I O T R.

Ah dla Boga! powiedz mi pan... ah mój Boże, pójdę do naszego małego panicza dopilnować, żeby Julisia ugotowała ziółek, herbaty, i jeżeli on nie będzie chciał, to ja się za niego napiję.

DUBOCAGE.

Jako, ty za niego?

PIOTR.

Nie, chciałem powiedzieć za pana.

DUBOCAGE.

Ah mój chłopcze, uczynisz mi prawdziwą przysługę.

PIOTR.

Oh przysięgam panu, że to nie będzie przysługą dla pana. (*wybiegając*) Julisiu, prędko herbaty, ziółek...

SCENA XII.

DUBOCAGE. (potem) EDWARD.

DUBOCAGE.

Ah mój Boże! piękną będę miał familją, jakie to wychowanie, jeden hałasuje jak dragon, drugi żarłok, głupiec jakich mało, a inni... Któż tam znowu?..

TERENIA. (*w ubiorze modnisia mowi za sceną*)

Proszę ostrożnie moi panowie, nie jestem przyzwyczajony do takiego obejścia, nie skompromituję się...

DUBOCAGE.

Ah to co za młodzik; gdyby nie wzrost możnaby go wziąć za modnisia paryzkiego.

E D W A R D.

Proszę mi przebaczyć (*klania się tylko głową*) wchodzę nie podług dobrego tonu! Ale kiedy człowiek jest przymuszony sam się meldować...Wszakże z panem domu mam zaszczyt mówić?

D U B O C A G E.

'Tak jest mój mały panie.

E D W A R D.

Pan Dubocage, mój szanowny wuj?

D U B O C A G E.

Jakto pan jesteś moim siostrzeńcem! Dla Boga, fanfaron 10 letni, tego tylko jeszcze brakowało!

E D W A R D.

Edward Laroche, o którym pan zapewne już słyszałeś. Ponieważ najwięcej okazywałem wrodzonych talentów, mnie tylko ojciec posłał na wychowanie do Paryża, kształciłem się w Liceum.

D U B O C A G E.

I tam nauczyłeś się?

E D W A R D.

Wszystkiego trochę, chociaż dopiero 3cią klasę ukończyłem.

SPIEW, NRO 5.

Dla mnie głos nauk był nudny i dziki,
I gdy nie jeden nad książką się kwili,
Ja wszystkie książki i wszystkie języki
Przebiegłem pędem prawie w jednej
(chwili.

Grammatyk żadnych nie znam nie czytałem,
A przeież umiem rozprawić dowodzić..

D U B O C A G E.

— Przebacz mi proszę że cię tu wstrzymałem,
Kiedyż czas miałeś na uczyć się chodzić?

E D W A R D.

Widzisz mój wuju, kiedy czasem w Niedzielę lub Czwartek wolno nam było pójść na przechadzkę, zawsze udawałem się do pana de Villerbois, korespondenta mojego ojca, dom bardzo bogaty. Ma on syna, żyliśmy ze sobą bardzo obojętnie naprzód dla tego że mnie przerosł, a potem nie byliśmy jego zdania. On chwalił dzieła klassyczne a ja jestem najzapaleńszym romantykiem. Dla tego też zamiast bawić się z nim w ogrodzie, zostawałem zawsze w salonie, przy kominku, za krzesłem

śłodziejy najlepszego tonu. Słuchałem, przypatrywałem się, a kiedy nikogo nie było, powtarzałem sobie w zwierciadle to co widziałem.

DUBOCAGE.

Pojmuję teraz że mając takie wzory...

EDWARD.

Można się było wykształcić, ułożyć, dla tego też poznasz mój wuju jakie odniosłem korzyści...*(poprawiając halsztuch i przybierając ton przesadzonego)* Ah jaki też czas nieznośny! Longchamps znudziło mnie nieznośnie. A propos, czy widziałeś Wesele Figara! Nie wiem czy podzielasz moje zdanie...ale...tak...tak...Powiedz mi gdzie kupowałeś twój kabriolet? szory przepyszne!.

DUBOCAGE.

Ah widzę, że mój siostrzeniec Edward stał się prawdziwą papugą.

EDWARD.

Jakże ci się podoba mój halsztuch, lorynetka?

DUBOCAGE.

Ja się nie znam natem,

EDWARD. (*patrzy na wujd przez lornetkę*)

Prawda, wy na prowincji zamieszkali, nie możecie się znać na tém.

DUBOCAGE.

Niech mi Bóg przebaczy, on lornetuje na mnie; a to najgorszy dzieciuch ze wszystkich, tamci przynajmniej mieli błędy swojego wieku, ale ten!..

S C E N A XIII.

CIŻ, JULISIA I SŁUŻĄCY.

JULISIA.

Ah panie, śliczna nowina! wiadomo panu że panicze siostrzeńcy pańscy pływali po kanale, panowie Karol, Józef, Oscar i Coco?..

DUBOCAGE.

I cóż?..

JULISIA.

Nie wiem jakim sposobem...

EDWARD.

Domyślam się: pewno popełnili jaką nieroztropność, nie znają się na tém bądź spokojna, pójdę ich nauczę... (*do Julisi lornetując na nią*) Do widzenia mój aniele...ładne dzie-

wczę. *(do Dubocage podając mu rękę)* Adieu
mój wuju, do widzenia! *(wybiega)*

S C E N A XIV.

DUBOCAGE, JULISIA, SŁUŻĄCY.

DUBOCAGE.

Cóżś mi chciała powiedzieć?

JULISIA.

Ci panowie takie figle wyrabialina wodzie
że się czólno przewróciło.

DUBOCAGE.

Ah nieszczęśliwe dzieci!

JULISIA.

Niech się pan nie lęka, nie głęboko, dwie
stopy wody, ale przemoczeni do nitki oba-
wiamy się zezębienia

DUBOCAGE.

Przebrać natychmiast wszystkich, okryć cie-
pło. Ah moj Boże! co ja pocznę!

JULISIA.

Jeszcze dwoje czy troje małych chce się
z panem widzieć, zapewne reszta familij...pła-
czą...krzyczą...

DUBOCAGE.

Nie chcę już nic więcej słyszeć, niech idą do szatana!

JULISIA.

Panie, między niemi jest dziewczynka bardzo miłuchna.

DUBOCAGE.

To mi wszystko jedno, mam ich i tak dosyć. Ten hałasuje, ten je jak stary, ten lozynetuje, tamci w wodzie, ah ja nie długo sam zachoruje.

SCENA XV.

CIŻ I PIOTR.

PIOTR.

Panie, pan Achilles ten hałasownik, psotnik...

DUBOCAGE. ?

Czy także wpadł w wodę?

PIOTR.

W wodę!..przeciwnie!

DUBOCAGE. ?

Jako przeciwnie!

PIOTR.

Poszedł ze swojemi dwoma braćmi do te-

go gabinetu napelnionego papierami gdzie pan
zwykle pisuje w końcu ogrodu...

DUBOCAGE.

I cóż...

PIOTR.

Widziałem jak otworzyli okno, i jeden za
drugim wyskoczył. Achilles trochę nadwich-
nął nogę, ale mię najbardziej pan Teodor
przestraszył, nie mogąc skakać bo tak tłusty,
ciężki, prawie wypadł z okna i byłaby do ła-
ska Boga gdyby się tylko skończyło na nad-
wzięciu ręki lub nogi.

DUBOCAGE.

Ah dla Boga, Juliszu spiesz prędko! Ale
z kądże ta myśl skakać oknem, po co.

PIOTR.

Pouieważ drzwi były zamknięte na klucz,..
a nie mogli wytrzymać w gabinecie z przyczy-
ny dymu...

DUBOCAGE.

Z kądże dym?

PIOTR.

Z papierów które się palily?

DUBOCAGE.

Papiery się palily! jakim sposobem?

P I O T R.

Bo pan Teodor je zapalił, chciał robić pu-
kawki z prochu i skaleczył się w rękę.

D U B O C A G E.

Ah mój Boże! otóż i ogień w domu! Cze-
muż głupcze nie powiedziałeś tego natychmiast!
Idź więc jak najprędzej zwołać wszystkich lu-
dzi z domu, ze wsi. (*Piotr wychodzi*) Oh cze-
muż sam pobiedz nie mogę! ah, okropność mieć
dzieci!.. co za męczarnia! a jeszcze 10ro. Być
przymuszonym pilnować ich, nie mieć nadziei
ani chwili spoczynku. Jak ojciec ich przybędzie,
co mu powiem? co tu począć! tyle nieszczęść
od razu, ci w wodę wpadli, ten rękę nadwichnął,
tu dom się pali. Ah mój Boże! I nie ma nikogo
przy mnie, ani jednego służącego; nawet nie
będę mógł wiedzieć co się dzieje. Hej jest tam
kto?..

SCENA XVI.

DUBOCAGE, TERENIA. (*w własnym ubiorze,
z książką w ręku, którą kładzie na stole*)

D U B O C A G E.

Jeszcze jedno; nie, już dzisiaj ich się nie po-
zbędę. Kto jesteś moje dziecię?

TERENIA.

Jestem siostrzenica twoja.

DUBOCAGE.

Siostrzenica! Zapewniono mię przecież, że mój siostrzeniec ma tylko dziesięcioro dzieci, a mnie się zdaje, że od rana ze dwa tuziny już ich tu było, a każde do gniewu mię pobudziło.

TERENIA

Oh ja przecięwnie, przynoszę dobre nowiny.

DUBOCAGE.

Czy tak, a więc moje dziecię, powiedz mi czy ogień?..

TERENIA.

Tak prędko przygaśzony jak zapalony.

DUBOCAGE.

Oddycham. A twoi bracia?

TERENIA.

Moi bracia... nie zobaczysz ich drogi wuju tak prędko, jedni są w łóżku, drudzy nie mogą się ruszyć nawet z miejsca, ale doktor zapewnił mię, że nie ma najmniejszego niebezpieczeństwa.

DUBOCAGE.

Chwała Bogu!

TERENIA.

Julisia, Piotr i druga moja siostra zostali przy

nich, ja widząc że jesteś sam, pospieszyłam do ciebie kochany wuju, aby cię uspokoić.

DUBOCAGE.

Dziękuję ci moje dziecię. Prawdę mówiono, że w tej rodzinie lepsze dziewczęta od chłopców. Jakimżeś się sposobem tu dostała?

TERENIA.

W powozie pana Frémoucourt. On zaś z moim ojcem poszedł pieszo. Czekalam tu, w bibliotece.

DUBOCAGE.

Ah widziałem, miałaś jakąś książkę. Czy ty przypadkiem nie jesteś tak uczoną jak twój brat Edward?

TERENIA.

Nie mój wuju, ja bardzo mało umiem, ale będę cię prosiła kochany wuju, abyś ty mię czasem uczył, pomagał...

DUBOCAGE.

Co mówisz, czasem, codzień; każdy poranek był dla mnie bez końca, teraz mam zatrudnienie; mieć taką uczennicę to radość sprawia; co się tycze śpiewu, nie jestem bardzo mocny... uwielbiam muzykę, lubię jej słuchać, ale nie znam ani jednej noty... co do tańca, (*wskazując nogę*) nic po mnie spodziewać się nie możesz.

T E R E N I A.

Jaki szczęśliwy wypadek, właśnie w tych przedmiotach jestem już usposobioną.

D U B O C A G E.

Któż cię tego uczył?

T E R E N I A.

Moja matka! Drogi wuju, jestem pewną, że gdybyś był ją znał, byłbyś ją kochał.

D U B O C A G E.

Nie, nigdy.

T E R E N I A.

O mój wuju, ona była tak dobrą!.. Mówiła nie raz do mnie: »Twój wuj, jest najlepszy z ludzi, najtkliwszy z krewnych, raz tylko w życiu popełnił niesprawiedliwość, i to względem mnie; powiedz mu kiedyś Tereniu, że byłam godną tej przyjaźni, której mi odmówił; niech wie, że to ja nauczyłam cię kochać go, i że to była jedyna moja zemsta!«

DUBOCAGE. (*wzruszony*)

Cc, ona ci tak mówiła?

T E R E N I A.

Codziennie; powiadano nam, że uskarżasz się, iż jesteś sam, opuszczony; moja matka byłaby uprzyjemniała twoją samotność, upiększała późne dni twoje, daleko tkliwiej, staranniej, aniże-

li takie jak my dzieci, które dla twojej przyjemności, kochać cię tylko mogą szczerze.

DUBOCAGE. (*n. s.*)

Dobra kobieta! czy podobna... żałuję teraz że byłem tak surowym! Gdyby żyła jeszcze, i była tu przy mnie. młoda, uprzejma, prowadziłaby zarząd domu, czyniła jego honory... z drugiej strony, mój siestrzeniec i to lube dziecię... resztę, oddawszy na pensję, byłbym był prawdziwie szczęśliwym... niestety, sam oddaliłem szczęście od siebie! stałem się niesprawiedliwym!

TERENIA. (*uważała to pilnie*)

Cóż ci jest mój wujaszku?..

DUBOCAGE. (*z słodyczą*) —

Zostaw mię moje dziecię, chcę sam zostać. (*Terenia oddała się*) Oh jak cierpię! (*Terenia wraca i staje przy nim*)

DUBOCAGE. (*postrzegając ją przy sobie*)

Ah jesteś jeszcze tu?

T E R E N I A.

Jużem się oddalała, ale powiedziałeś wuj: „oh jak cierpię!” miałam, żeś mię przywołał.

DUBOCAGE. (*ściskając ją*)

Tak, tak, zostań moje dziecię, dobrze mówisz, przy tobie lżejsze moje cierpienia.

TERENIA.

Czemżebym cię zabawić mogła? (*uśmiechając się*) Czy chcesz żebym ci co przeczytała lub zagrała na fortepianie?

DUBOCAGE.

Ah, jużbym się nie mógł obejść bez tego dziecięcia, to jest skarb prawdziwy; przeczytaj mi co, jaką masz książkę?

TERENIA. (*nieco zawstydzona*)

Mój wuju, to są powieści czarnaokszkie.

DUBOCAGE.

Ah lubisz powieści?

TERENIA.

A ty mój wuju?

DUBOCAGE.

Nie powiem, nie; w moim wieku i twoim, często mamy też same gusta: starcy i dzieci bardzo są do siebie podobni; ostateczności schodzą się ze sobą: czytaj moje dziecię, słucham. (*siedzi w fotelu, nogi stawia na taborecie na którym siada Terenia, która waha się przez chwilę, spogląda na p. Dubocage, nakoniec*

odważa się i czyta) »Był pewnego razu jeden wuj mający postać gniewliwego, ale w istocie był dobrym.«

DUBOCAGE.

Do licha! to nie powieść, jest wielu takich.

TERENIA. (*patrzac na niego*)

Tak mój wuju! (*czyta dalej*) »Ten wuj miał siostrzeńca, który chcąc zostać bogatym wsiadł na wielki okręt. Płynął daleko, bardzo daleko, aż do pewnego pięknego kraju, i tam się zatrzymał!.. W tym kraju była wróżka która mu powiedziała: »Przyszędłeś tu szukać tylko bogactw, lecz jeżeli chcesz, ja ci dam i szczęście.« on przyjął to natychmiast.

DUBOCAGE.

I ja bylbym tak uczynił.

TERENIA.

»A więc ożenił się z wróżką, która była bardzo dobra, bardzo łagodna, ale najbiedniejsza ze wszystkich wróżek całego świata; albowiem była przepowiednia, że nie odzyska swoich skarbów i swojej władzy, dopóki nie będzie matką dwunastu dzieci.«

DUBOCAGE.

Szczególniej za powieść.

T E R E N I A.

•I sądziecie o ich nieszczęściu, mieli tylko jedną córkę, dosyć miłą, prawda.»

D U B O C A G E.

Któż tam znowu, przeszkodził nam w miejscu najinteressowniejszym?

SCENA XVII.

CIŻ I JULJUSZ. (*wchodząc nagle*)

J U L J U S Z.

Na próżno czekam p. de Frémoucourt, niech się co chce stanie. Wujku mój!

D U B O C A G E.

Mój siostrzeniec, mój kochany Juljusz!

J U L J U S Z. (*w uściskach*)

Oglądam ukochanego wuja! i moja córka przy nim!

D U B O C A G E.

Tak mój przyjacielu, nasza kochana Terenia, która będzie moją przysposobioną córką. Ale, jeżeli ci mam wyznać prawdę, bo nie zwykłem pochlebiać nikomu, nie jestem kontent z innych dzieci.

J U L J U S Z.

Jako mój wuju, wiesz już...?

DUBOCAGE.

Do licha, nie tak trudno było dostrzedz. Ale teraz nie czas łajać cię, gdyż w tej chwili, nie wiem czy z mojej czy z ich winy, muszę ci donieść że wszyscy się nieco pochorowali.

JULJUSZ.

Kochany wuju, domyślam się chcesz żartować ze mnie.

DUBOCAGE.

Broń boże! Twój syn Achilles nieco nadwichnął nogę. (*widząc poruszenie Juljusza*) Uspokój się mój przyjacielu, doktor zapewnił że nie ma się czego obawiać; co się zaś tycze Artura, Oskora, Koko i Józefa, ci wpauli w wodę, ale powtarzam nie ma niebezpieczeństwa. Teodor zachorował z nieczystości, i to nie powinno cię zadziwić.

JULJUSZ.

Nie, w istocie...ale na cóż kochany wuju, tak boleśnie przeciągasz żart, kiedy znasz moje położenie, kiedy wiesz że na nieszczęście mam tylko tę jedną córkę.

DUBOCAGE.

Co mówisz?

JULJUSZ.

Istotną prawdę.

DUBOCAGE.

Ale przecież widziałem innych nawlasne o-
czy...

JULJUSZ.

Jakto widziałeś moich 10ro dzieci?

DUBOCAGE. (*patrząc na Terenię*)

Tak jest, po większej części. Ale cóż to mo-
ścią, anno, śmiejesz się. Czy raczysz nam wytlu-
maczyć co ten śmiech znaczy?

TERENIA.

Byłbyś się dowiedział kochany wujaszku, gdy-
byś był usłyszał dokończenie mojej powieści.

JULJUSZ.

Co? miałażby Terenia poważyc się?..

DUBOCAGE.

Sluchaj jej, mój przyjacielu, bardzo dobrze
czyta.

TERENIA. (*czytając dalej*)

»Prócz tego, czarnoksiężnik, od którego ca-
»ły ich los zawisł, był ten wuj, o którym mó-
»wiliśmy wyżej, a małe dziewczę chcąc prze-
»konać go, że jedno kochające nas dziecię
»więcej warto, aniżeli dziesięć, które tylko do
»gniewu pobudzają, odważyła się sama przed-
»stawić tych chłopców, niemal całą rodzinę...

»Dowiedziawszy się o tém dobry wujaszek, odpowiedział... dobry wujaszek odpowiedział...«

D U B O C A G E.

Cóż dalej..?

T E R E N I A.

„Dobry wujaszek odpowiedział...“

D U B O C A G E.

I cóż..?

T E R E N I A. *(pokazując książkę)*

Mój wuju, kartę rozdarta!

D U B O C A G E.

Szcęściem czytałem dawniej tę powieść, i jeżeli dobrze pamiętam, zdaje mi się, to powiedział: „Tak, pragnąłem w dzieciach moich, „widzieć wdziek, miły dowcip, talenta, Niebo „spełniło moje życzenia, gdyż w tobie jednej „znajduję całą moją rodzinę. Lubie dziecię, po „zostań przy mnie, aby uprzyjemnić zimę lat „moich, widząc cię, zapomnę mojej starości, od „młodnieję widokiem ukochanej córki.“

J U L J U S Z.

Ab mój wuju!

D U B O C A G E.

Uściskaj mię; *(do Tereni)* gdzież twoja matka?

T E R E N I A.

Jest tu już w zamku twoim, i czeka tylko chwili..

DUBOCAGE.

Sam pójde do niej... (*Piotr i Julisia wchodzą*)

TERENIA

Ah mój wuju, jeszcze jedna prośba. Piotr i Julisia należeli do téj znowy... a zdaje mi się, że w téj powieści dobry wuj w nagrodę połączył ich, czy przypominasz sobie?..

DUBOCAGE.

Nie zupełnie, ale być może; bo wszystkie powieści kończą się na małżeństwie, a dziś jestem tak szczęśliwy, że chciałbym wszystkich widzieć szczęśliwemi.

TERENIA.

Szczęśliwa dzisiaj, powróciłam zgodę,

Wuju i ojciec mile uściskajcie,

Kiedyś wam wdzięczność poniosę w nagrodę,

Zaczekajcie,

Ah proszę was zaczekajcie!

JULISIA.

Wy, co natchnieni miłości podniecią,

Mówicie: przysiąg wiecznych posłuchajcie!

Stalość jest duszy najtrwalszą zaletą!

Zaczekajcie,

Jeden miesiąc zaczekajcie!

PIOTR. (*wskazując na Terenię*)
Ty jedna tylko z żądanych dziesięciu,
Lecz dobry panie, wy mnie posłuchajcie:
(*patrząc na Julisję*)

Ja się uiszczę w mojem przedsięwzięciu,
Zaczekajcie,
Latek kilka zaczekajcie!

D U B O C A G E.

Kiedy was błaga obłudnik, oszczerca,
Temu zasitku zawsze odmawiajcie;
Lecz kiedy nędza przemawia do serca,
Nie czekajcie,

Ani chwili nie czekajcie!

TERENIA (*do Publiczności*)

Jeśli myśl Wasza jest dać nam oklaski,
Nie zwłócząc chwili, zaraz nam je dajcie;
Lecz jeżeli sztuka ma doznać niełaski,
Zaczekajcie,
Ah! na później zaczekajcie!

KONIEC KOMEDJI I TOMU CZTERNASTEGO.



<http://rcin.org.pl>

F
1204
14.